

HONORÉ DE BALZAC

---

**Gobseck**

HONORÉ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

# Gobseck

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

*Baronowi Barchou de Penhoen.*

*Wśród wszystkich wychowanków kolegium Vendôme, jesteście, jak sądzę, jedyni, którzy się odnaleźli w życiu literackim, my, którzy uprawialiśmy już filozofię w wieku kiedy powinniśmy byli uprawiać jedynie De viris! Oto utwór, który pisałem w chwili, gdyśmy się spotkali i podczas gdy ty pracowałeś nad swymi pięknymi dziełami o filozofii niemieckiej. Tak więc żaden z nas nie chybił swemu powołaniu. Ujrzysz tedy z pewnością tutaj swoje nazwisko z tą samą przyjemnością, z jaką wpisuje je twój stary kolega szkolny*

*de Balzac.*

W zimie roku 1829 na 1830, o pierwszej po północy, w salonie wicehrabiny de Grandlieu znajdowały się jeszcze dwie osoby nienależące do rodziny. Młody i przystojny człowiek wyszedł, słysząc bicie zegara. Kiedy turkot powozu rozległ się w dziedzińcu, wicehrabina, widząc już tylko swego brata oraz przyjaciela domu kończących partię pikiety, podeszła do córki, która stojąc w salonie przy kominku, niby to przeglądała album i słuchała oddalającego się kabrioletu w sposób usprawiedliwiający macierzyński niepokój.

— Kamillo, jeżeli nadal będziesz zachowywać się z młodym hrabią Restaud tak jak dziś wieczór, zmusisz mnie do tego, że go przestanę przyjmować. Słuchaj, moje dziecko, jeśli masz zaufanie do mego serca, pozwól mi prowadzić się w życiu. W siedemnastu latach<sup>1</sup> nie można jeszcze sądzić o przyszłości, ani o pewnych względach społecznych. Zwrócę ci uwagę tylko na jedno. Pan de Restaud ma matkę, która pochłonęłaby miliony, kobietę źle urodzoną, pannę Goriot, o której w swoim czasie dużo mówiono. Postępowała tak źle ze swoim ojcem, że z pewnością nie zasługuje na to, aby mieć tak dobrego syna. Młody hrabia ubóstwia ją i broni jej z oddaniem godnym największych pochwał, dba zwłaszcza czule o brata i siostrę. Mimo że to postępowanie jest bardzo piękne — podkreśliła wicehrabina — dopóki matka jego żyje, każda rodzina bałaby się powierzyć temu chłopcu przyszłość i majątek młodej panny.

— Dosłyszałem kilka słów, które budzą we mnie ochotę wmieszać się między panią a jej córkę — wykrzyknął przyjaciel domu. — Wygrałem, panie hrabio — rzekł, zwracając się do przeciwnika. — Porzucam pana, aby biec w sukurs pańskiej siostrzenicy.

— To się nazywa mieć uszy adwokackie — wykrzyknęła wicehrabina. — Kochany panie Derville, jakim cudem mógł pan słyszeć to, co ja mówiłam po cichu do Kamilli?

— Zrozumiałem pani spojrzenia — odparł Derville, siadając w berżerce<sup>2</sup> przy kominku.

Wuj usiadł przy siostrzenicy, a pani de Grandlieu umieściła się na kanapce między córką a Derville.

— Czas, pani wicehrabino, abym pani opowiedział pewną historię, która zmieni pani sąd o majątku hrabiego Ernesta de Restaud.

— Historię! — wykrzyknęła Kamilla. — Niechże pan prędko zaczyna.

<sup>1</sup>w siedemnastu latach — dziś: mając siedemnaście lat. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>berżerka a. berżera — niski, szeroki, wyściełany fotel z cofniętym oparciem i siedzeniem, na którym kładziono poduszkę. [przypis edytorski]

Derville rzucił na panią de Grandlieu spojrzenie, z którego zrozumiała, że to opowiadanie powinno ją zająć. Wicehrabina de Grandlieu była przez swój majątek i dawność nazwiska jedną z najznamienitszych kobiet w dzielnicy Saint-Germain; o ile zaś kogo dziwi, aby adwokat paryski odzywał się do niej tak poufale i zachowywał się w jej domu tak bez ceremonii, łatwo będzie wytłumaczyć tę osobliwość. Pani de Grandlieu, wróciwszy do Francji wraz z rodziną królewską, osiadła w Paryżu, gdzie żyła zrazu jedynie z zasiłków przyznanych przez Ludwika XVIII z listy cywilnej. Było to położenie nieznośne. Adwokat miał sposobność wykryć pewne nieprawidłowości w sprzedaży pałacu Grandlieu dokonanej niegdyś z ramienia Republiki i orzekł, iż pałac powinien być zwrócony wicehrabinie. Podjął się tego procesu na swoje ryzyko i wygrał. Zachęcony powodzeniem, natarł tak skutecznie na jakieś przytulisko, że uzyskał odeń zwrot lasu Liceney. Potem wydobył jeszcze jakieś akcje kanału Orleańskiego i pewne dość znaczne nieruchomości, którymi cesarz wyposażył był zakłady publiczne. W ten sposób, dzięki zręczności młodego adwokata, majątek pani de Grandlieu osiągnął sumę blisko sześćdziesięciu tysięcy franków dochodu, nim prawo o odszkodowaniach zwróciło jej ogromne sumy. Adwokat ten, człowiek nieskazitelnej uczciwości, uczony, skromny i dobrze wychowany, stał się od tego czasu przyjacielem rodziny. Mimo iż postąpienie jego z panią de Grandlieu zyskało mu szacunek i klientelę najlepszych domów dzielnicy Saint-Germain, nie korzystał z tego wzięcia tak, jakby mógł korzystać człowiek ambitny. Opierał się naleganiom wicehrabiny, która chciała, aby sprzedał swoją kancelarię i przeszedł do sądownictwa, gdzie dzięki wysokim protekcjom uzyskałby od razu szybki awans. Z wyjątkiem pałacu Grandlieu, gdzie spędzał czasami wieczory, bywał w świecie jedynie tyle, ile było trzeba dla podtrzymania stosunków. Było dlań wielkim szczęściem, że oddanie jego pani de Grandlieu wydobyło na światło jego talenty, gdyż groziło mu, że jego kancelaria zmarnieje. Derville nie miał duszy adwokackiej.

Od czasu, gdy hrabia Ernest de Restaud wszedł w dom wicehrabiny i odkąd Derville odkrył sympatię Kamilli do tego młodzieńca, zaczął bywać u pani de Grandlieu bardzo pilnie; rzekłbyś, mieszczkański dandys świeżo dopuszczony na arystokratyczne salony. Kilka dni przedtem znalazł się na balu koło Kamilli i rzekł wskazując młodego hrabiego:

— Szkoda, że ten chłopiec nie ma jakich dwóch albo trzech milionów, nieprawdaż?

— Czy to nieszczęście? Nie sądzę — odparła. — Pan de Restaud ma wielkie zdolności, jest wykształcony, a minister, przy którym pracuje, ceni go wysoce. Nie wątpię, że zajdzie daleko. *Ten chłopiec* znajdzie majątek, jakiego sam zapragnie, skoro przyjdzie do władzy.

— Tak, ale gdyby już był bogaty?

— Gdyby był bogaty — rzekła Kamilla, rumieniąc się. — Ależ wszystkie młode panny, które są tutaj, wydzierająby go sobie — dodała, wskazując tańczące pary.

— I wówczas — odparł adwokat — panna de Grandlieu nie byłaby tą jedyną, na którą by zwracał oczy. Dlatego się pani rumieni! Podoba się pani, nieprawdaż? No, niech pani powie.

Kamilla wstała nagle.

„Kocha go” — pomyślał Derville.

Od tego dnia Kamilla była nadzwyczaj uprzejma dla adwokata, spostrzegłszy, że on pochwała jej skłonność. Aż dotąd, mimo że znała wszystkie zobowiązania rodziny wobec Derville'a, było w jej obojętności więcej grzeczności niż prawdziwej sympatii, więcej uprzejmości niż uczucia, zachowanie jej i ton zawsze mu dawały odczuć oddalenie, jakie etykieta stawiała między nimi. Wdzięczność to jest dług, który dzieci nie zawsze przyjmują w spadku.

— Ta historia — rzekł Derville po pauzie — przypomina mi jedyny romansowy wypadek w moim życiu. Już śmiejecie się państwo, słysząc, jak adwokat mówi wam o romansie w swoim życiu! Ale i ja miałem dwadzieścia pięć lat jak każdy inny, a w tym wieku widziałem już bardzo osobliwe rzeczy. Muszę zacząć moje opowiadanie od osobistości, której państwo nie możecie znać. Chodzi o lichwiarza. Wyobraźcie sobie twarz bladą i wyblakłą, którą, za pozwoleniem Akademii, chciałbym nazwać *miesięczną*<sup>3</sup>: podobna była do srebra, z którego zeszło złocenie. Włosy mego lichwiarza były gładkie, starannie uczesane, popielato-szare. Rysy twarzy, niewzruszonej jak twarz Talleyranda, zdawały się

<sup>3</sup>miesięczny — tu: księżycowy. [przypis edytorski]

odlane z brązu. Małe oczka, żółte jak u kuny, nie miały prawie rzęs i lękały się światła, ale daszek starego kaszkietu chronił je od blasku. Szpiczasty nos był tak cienki na końcu, że można by go porównać do świdra. Wargi miał cienkie jak owi alchemicy i starcy malowani przez Rembrandta lub Metsu<sup>4</sup>. Człowiek ten mówił cicho, łagodnym głosem i nie unosił się nigdy. Wiek jego był zagadką: nie sposób było zgadnąć, czy on zestarzał się przed czasem, czy też zaoszczędził swą młodość, iżby mu służyła zawsze. Wszystko w jego pokoju było schludne i wytarte; podobne, od zielonego sukna na biurku aż do dywanika przed łóżkiem, do zimnego sanktuarium starej panny, która cały dzień wyciera z kurzu meble. W zimie głównie na kominku, zawsze zagrzebane w popiele, dymiły, nie dając ognia. Czynności jego od godziny wstania aż do wieczornego napadu kaszlu były regularne jak zegar. Był to poniekąd *człowiek-automat*, którego sen nakręcał. Jeżeli dotknąć stonogi idącej po papierze, zatrzyma się i udaje nieżywą; tak samo i ten człowiek urywał w pół zdania i przestawał mówić, gdy zaturkotał powóz, aby nie podnosić głosu. Na wzór Fontenelle'a oszczędzał siłę żywotną i skupiał wszystkie uczucia ludzkie w swoim ja. Toteż życie jego upływało bez hałasu niby piasek w starożytniej klepsydrze. Czasami jego ofiary krzyczały, unosiły się; potem robiła się wielka cisza jak w kuchni, w której zarzyną się kaczkę.

Pod wieczór człowiek-weksel zmieniał się w zwykłego człowieka, a jego metafale obrażały się w serce ludzkie. Jeżeli był rad ze swego dnia, zacierał ręce, wypuszczając przez popękane szczeliny twarzy dym wesołości, niepodobna bowiem inaczej wyrazić niemej gry jego mięśni, w której malowało się wrażenie podobne do śmiechu. Przy tym nawet w największych napadach uciechy rozmowa jego była jednosylabowa, a zachowanie zawsze negatywne.

Takim był sąsiad, którego przypadek dał mi w domu, gdzie mieszkałem przy ulicy des Grès, kiedy byłem dopiero drugim dependentem i kończyłem trzeci rok prawa. Dom ten, bez dziedzica, był wilgotny i ciemny. Okna wychodziły tylko na ulicę. Zakonny rozkład, wedle którego budynek podzielony był na pokoje jednakiej wielkości, wychodzące na długi korytarz oświetlony małymi okienkami, świadczył, że dom ten stanowił niegdyś część klasztoru. Na ten smutny widok wesołość młodego utracjusza gasła, nim jeszcze wszedł do mego sąsiada: dom i jego mieszkaniec były do siebie podobne. Można by rzec, ostrzyga przyczepiona do skały. Jediną istotą, z którą się komunikował, byłem ja: zachodził do mnie po ogień, pożyczał ode mnie książek, dzienników, pozwalał mi wieczorem wchodzić do swej celi, gdzie rozmawialiśmy, kiedy był w dobrym humorze. Te objawy zaufania były owocem czteroletniego sąsiedztwa i mego dobrego prowadzenia się, które dla braku pieniędzy bardzo było podobne do jego życia. Czy on miał krewnych, przyjaciół? Czy był bogaty, czy biedny? Nikt nie mógłby odpowiedzieć na te pytania. Nie widziałem nigdy u niego pieniędzy. Majątek jego musiał zapewne spoczywać w piwnicach banku. Sam ścigał swoje weksle, biegając po Paryżu nogą chyżą jak u jelenia. Był zresztą męczennikiem swej ostrożności. Jednego dnia przypadkiem miał przy sobie złoto; nie wiadomo, jak wysunął mu się napoleon z kieszeni. Lokator, który siedł za nim po schodach, podniósł pieniądz i podał mu go.

— To nie moje — odparł z gestem zdziwienia. — Ja i złoto! Czyżbym tak żył, jak żyję, gdybym był bogaty?

Rano sam sobie przyrządzał kawę w cynowej fajerce, która zawsze stała w ciemnym kącie kominka; obiad przynoszono mu z garkuchni. Stara odźwierna przychodziła sprzątać o stałej godzinie. Wreszcie dziwnym trafem, który Sterne nazwałby przeznaczeniem, człowiek ten nazywał się Gobseck.

Kiedy później zajmowałem się jego interesami, dowiedziałem się, iż w chwili, kiedyśmy się poznali, miał siedemdziesiąt sześć lat. Urodził się w roku 1740 na przedmieściu Antwerpii, z matki Żydówki i ojca Holendra i nazywał się Jan Ester Van Gobseck. Pamiętacie państwo, jak cały Paryż zajmował się zamordowaniem kobiety zwanej *Piękną Holenderką*? Kiedy wspomniałem o tym przypadku memu dawnemu sąsiadowi, rzekł, nie zdradzając najmniejszego zainteresowania ani zdziwienia: „To była moja cioteczna wnuczka”.

<sup>4</sup>Gabriel Metsu (1629–1667) — malarz holenderski. [przypis edytorski]

Oto wszystko, co zeń wycisnęła śmierć jego jedynej i wyłącznej spadkobierczyni, wnuczki jego rodzonej siostry. Dowiedziałem się z rozprawy, że istotnie piękna Holenderka nazywała się Sara Van Gobseck. Kiedy go spytałem, jakim sposobem siostrzenica nosiła jego nazwisko, odpowiedział z uśmiechem:

— W naszej rodzinie kobiety nigdy nie wychodziły za mąż.

Ten szczególny człowiek nigdy nie chciał widzieć żadnej osoby z czterech żeńskich generacji swoich krewnych. Nienawidził spadkobierców i nie wyobrażał sobie, aby jego majątek mógł kiedykolwiek należeć do kogo innego, nawet po jego śmierci. Miał dziesięć lat, kiedy matka wsadziła go jako chłopca okrętowego na okręt płynący do kolonii w Indiach, gdzie przeżył dwadzieścia lat. Toteż zmarszczki na jego pożółkłym czole zachowały tajemnice straszliwych wypadków, nagłych lęków, niespodzianych przygód, romantycznych przepraw, frenetycznych radości: wycierpiany głód, zdeptaną miłość, majątek zagrożony, stracony, znów odzyskany, życie wiele razy w niebezpieczeństwie, ocalone może dzięki owej decyzji, której srogość znajduje wymówkę w pośpiechu i konieczności. Znał niegdyś admirała Simeuse, pana de Lally, pana de Kergarouët, pana d'Estaing, sędziego Suffrena, pana de Portenduere, lorda Hastings, ojca Tippo-Saiba i samego Tippo-Saiba. Ów Sabaudczyk, który służył Madhadży-Sindjach, królowi Delhy i tak bardzo przyczynił się do potęgi Mahrattów, robił z nim interesy. Miewał stosunki z Wiktorem Hughes i wielu sławnymi korsarzami, bo długo przebywał na wyspie św. Tomasza. Tyłu rzeczy się chwycił, aby zrobić majątek, że próbował odkryć złoto tego tak sławnego dzikiego plemienia w okolicy Buenos Aires. Nie był wreszcie obcy żadnemu z wypadków wojny o niepodległość Ameryki. Ale kiedy mówił o Indiach lub o Ameryce, co mu się nie zdarzało z nikim, a bardzo rzadko ze mną, robił wrażenie, jakby popełniał niedyskrecję, jakby żałował tego. Jeżeli ludzkość i współzycie ludzi są religią, jego można by uważać za ateusza. Mimo że postanowiłem go przeniknąć, muszę wyznać ze wstydem, że do ostatniej chwili serce jego zostało nieprzeniknione. Zapytywałem niekiedy sam siebie, do jakiej płci on należy. Jeżeli wszyscy lichwiarze są do niego podobni, sądzę, że wszyscy są rodzaju nijakiego. Czy został wierny wyznaniu matki i uważał chrześcijan za swój łup? Czy został katolikiem, mahometaninem, bramanem lub lutrem? Nigdy niczego się nie dowiedziałem o jego przekonaniach. Zdawał się raczej obojętnym niż niedowiarkiem.

Pewnego wieczoru wszedłem do tego człowieka, który stał się złotem i którego przez żart lub szyderstwo ofiary jego, zwane przezeń *klientami*, nazywały *papą Gobsekiem*. Siedział na fotelu nieruchomy jak posąg, z oczyma utkwionymi w okapie kominka, jakby tam odczytywał swoje rachunki. Dymiąca lampa, o podstawie niegdyś zielonej, rzuciła blask, który nie tylko nie barwił jego twarzy, ale uwydatniał jej bladość. Popatrzał na mnie w milczeniu i wskazał krzesło, które na mnie czekało.

„O czym ten człowiek myśli? — mówiłem sobie. — Alboż on wie, czy istnieje Bóg, uczucie, kobiety, szczęście?”

Żałowałem go tak, jakbym żałował chorego. Ale rozumiałem też, że jeżeli posiada w banku miliony, może posiadać myślą ziemię, którą przebiegł, zgłębił, zważył, oszacował, wyssał.

— Dzień dobry, ojczu Gobseck — rzekłem.

Obrócił ku mnie głowę, grube czarne brwi zbliżyły się lekko; ten charakterystyczny gest odpowiadał u niego najweselszemu uśmiechowi południowca.

— Jest pan tak ponury, jak w dniu, gdy panu oznajmiono o bankructwie owego księgarza, którego zręczność pan tak podziwiał, mimo że padłeś jej ofiarą.

— Ofiarą? — rzekł zdziwiony.

— Wszak aby zyskać ugodę, spłacił pana wiarygodność weksłami podpisanymi przez firmę w bankructwie, kiedy zaś podniósł się znowu, skorzystał z redukcji przyznanej w ugodzie?

— Sprytny był — odparł — ale ja go później dostałem.

— Ma pan zatem jakie weksle do protestu? Mamy dziś trzydziestego, o ile mi się zdaje.

Pierwszy to raz mówiłem z nim o pieniądzech. Podniósł na mnie drwiące oczy, po czym swoim cichym głosem, którego tony podobne były do dźwięków, jakie dobywa z fletu niezręczny uczeń, rzekł:

— Bawię się.

— Więc pan się bawi czasami?

— Czy sądzisz, że poetami są tylko ci, co pisują wiersze? — spytał, wzruszając ramionami i spoglądając na mnie z politowaniem.

„Poezja w tej głowie!” — pomyślałem, bo jeszcze nie znałem jego życia.

— Jakież istnienie mogłoby się równać z moim? — ciągnął i oko jego ożywiło się. — Jesteś młody, myślisz swoją krwią, w główniach na kominku widzisz twarze kobiece; ja w moich widzę tylko węgle. Wierzysz we wszystko, a ja nie wierzę w nic. Zachowaj swoje złudzenia, jeżeli możesz. Zrobię ci bilans życia. Czy będziesz podróżował, czy też będziesz siedział przy kominku przy spódnicy żony, zawsze przychodzi wiek, w którym życie jest już tylko nałogiem uprawianym w pewnym wybranym kole. Szczęście polega wówczas na użytkowaniu naszych talentów w zastosowaniu do rzeczywistości. Poza tymi dwoma pewnikami wszystko jest fałszem. Moje zasady zmieniały się jak zasady ludzi, musiałem je zmieniać wedle szerokości geograficznej. To, co Europa podziwia, Azja karze. To, co jest występkiem w Paryżu, staje się koniecznością, skoro się przebędzie Azory. Nic nie ma tu stałego, są jedynie obyczaje, które się zmieniają zależnie od klimatu. Dla kogoś, kto z konieczności wciskał się we wszystkie formy społeczne, zasady i moralność są tylko słowem bez treści. Zostaje w nas jedyne szczere uczucie, jakie nam dała natura: instynkt samozachowawczy. W waszych europejskich społeczeństwach instynkt ten nazywa się *interesem osobistym*. Gdybyś żył tyle co ja, wiedziałbyś, że istnieje tylko jedna rzecz materialna, której wartość jest dość pewna, aby się nią człowiek zaprzętał. Ta rzecz... to złoto. Złoto przedstawia wszystkie siły ludzkie. Podróżowałem, widziałem, że wszędzie są góry i wszędzie doliny: doliny nudzą, góry męczą; miejsce nie znaczy tedy nic. Co się tyczy obyczajów, człowiek jest wszędzie taki sam: wszędzie istnieje walka między ubogim a bogatym, wszędzie jest nieunikniona; lepiej tedy być wyzyskującym niż wyzyskiwanym. Wszędzie istnieją ludzie muskularni, którzy pracują, i limfatyczni, którzy się trapią. Wszędzie rozkosze są te same, bo wszędzie zmysły się wyczerpują i przeżywa je tylko jedno uczucie, próżność! Próżność to zawsze *ja*. Próżność da się zaspokoić jedynie strumieniem złota. Nasze zachcenia wymagają czasu, środków fizycznych lub starań! Otóż złoto zawiera wszystko w załączku, a daje wszystko w rzeczywistości. Jedyne wariaci lub chorzy mogą znajdować szczęście w tym, aby tasować karty co wieczór dla przekonania się, czy wygrają kilka groszy. Jedyne głupcy mogą obracać swój czas na dowiadywaniu się, co się dzieje, czy ta a ta pani położyła się na kanapie sama lub w towarzystwie, czy ma więcej krwi niż limfy, więcej temperamentu niż cnoty. Jedyne naiwni mogą się uważać za ludzi użytecznych swoim bliźnim, zajmując się wytyczaniem zasad politycznych, aby rządzić wypadkami zawsze nieprzewidywanymi. Jedyne dudki mogą paplać o aktorach i powtarzać ich koncepty; odbywać codziennie, tylko na większej przestrzeni, przechadzkę zwierzęcia w swojej klatce; ubierać się dla drugich, jeść dla drugich, chęłpić się koniem lub powozem, które sąsiad może mieć dopiero w trzy dni po nich. Czyż to nie jest życie waszych paryżan streszczone w paru zdaniach? Spójrzmyż na życie z bardziej wysoka niż oni. Szczęście polega albo na silnych wzruszeniach, w których spala się życie, albo też na periodycznych zatrudnieniach, które zeń czynią regularnie funkcjonującą angielską mechanikę. Ponad tymi rodzajami szczęścia istnieje ciekawość, rzekomo szlachetna, poznania tajemnic natury albo też niejakiego naśladowania jej objawów. Czyż to nie jest, w dwóch słowach, Sztuka lub Wiedza, namiętność lub spokój? Otóż wszystkie namiętności ludzkie spotęgowane grą waszych społecznych interesów defilują przede mną żyjącym w spokoju. Waszą ciekawość naukową, tę walkę, w której człowiek zawsze jest pobity, zastępuję przenikaniem wszystkich owych sprężyn, które poruszają ludzkość. Jednym słowem, posiadam świat bez zmęczenia, a świat nie ma nade mną najmniejszej władzy. Posłuchaj pan — dodał — w jaki sposób spędziłem poranek, a zrozumiesz moje rozkosze.

Wstał, zasunął rygiel, zaciągnął starą portierę, chrzęszcząc kółkami na drucie, i wrócił na swoje miejsce.

— Dziś rano — rzekł — miałem do podjęcia tylko dwa weksle, resztę wetknąłem w wilię<sup>5</sup> klientom jako gotówkę. Czysty zysk! Bo przy eskoncie odciągam kurs, jakiego wymaga odebranie pieniędzy, ściągając dwa franki na urojoną dorożkę. Czyżby nie było

Młodość, Starość, Kondycja  
ludzka, Obyczaje, Obraz  
świata, Pieniądz

<sup>5</sup>w wilię (daw.) — wczoraj. [przypis edytorski]

śmieszne, aby klient zmuszał mnie do przebycia Paryża dla sześciu franków eskontu, mnie, który nie podlegam nikomu, który płacę tylko siedem franków podatku! Pierwszy weksel na tysiąc franków puszczonego przez młodego człowieka, ślicznego chłopca w haftowanych kamizelkach, z lornetką, kabrioletem, angielskim konikiem, etc., podpisany był przez jedną z najpiękniejszych kobiet w Paryżu, żonę bogatego właściciela, hrabiego. Czemu ta hrabina podpisała weksel, żaden z punktu prawnego, ale doskonały w praktyce, bo te biedne kobietki tak lękają się skandalu związanego z protestem, że raczej oddałyby same siebie w zapłatę, niżby miały nie zapłacić? Chciałem poznać sekretny walor tego wekslu. Głupota, nierozwaga, miłość czy miłosierdzie? Drugi weksel na taką sumę, z podpisem Fanny Malvaut, przedstawił mi wpół zrujnowany handlarz płótna. Nikt mający jakikolwiek kredyt w banku, nie przyjdzie do mojej nory, gdzie pierwszy krok uczyniony od drzwi do biurka zdradza rozpacz, wiszące nad głową bankructwo, a zwłaszcza kolejną odmowę wszystkich bankierów. Toteż widuję jedynie szczute jelenie gonione przez sforę wierzycieli. Hrabina mieszkała przy ulicy du Helder, Fanny przy ulicy Montmartre. Ileż robiłem przypuszczeń, wychodząc z domu dziś rano! Jeśli te dwie kobiety nie są wypłacalne, przyjmą mnie z większym szacunkiem niż rodzzonego ojca. Ile komedii zagra mi ta hrabina za swoich tysiąc franków! Przybierze wyraz pieszczotliwy, będzie do mnie mówiła tym głosikiem, którego słodycze przeznaczone są dla wystawcy weksla, będzie mnie obsypywała jedwabnymi słówkami, będzie błagała może, a ja...

Tu starzec rzucił na mnie swoje martwe spojrzenie.

— A ja niewzruszony! — podjął. — Stoję tam jak mściciel, zjawiam się jak wyrzut sumienia. Ale porzućmy domysły. Przybywam.

— Pani hrabina jeszcze śpi — mówi pokojówka.

— Kiedy ją będzie można zobaczyć?

— W południe.

— Pani hrabina chora?

— Nie, proszę pana, ale wróciła z balu o trzeciej rano.

— Nazywam się Gobseck, proszę jej powiedzieć moje nazwisko, będę tu w południe.

I odchodzę, znacząc mą obecność na dywanie zaścielającym schody. Lubię walać błotem dywany bogaczy, nie przez dokuczliwość, ale aby im dać uczuć szpon konieczności.

Zaszedłszy na ulicę Montmartre, do skromnego domu, otwieram starą bramę i widzę ciasny dziedzińczyk, gdzie słońce nie zagląda nigdy. Izdebka odźwiernego ciemna, szyba podobna do rękawa zbyt długo noszonego szlafroka, tłusta, ciemna, poszczerbiona.

— Panna Fanny Malvaut?

— Wyszła, ale jeżeli pan przychodzi z wekslem, są pieniądze.

— Wrócę później — mówię.

Skoro odźwierny miał pieniądze, chciałem poznać młodą dziewczynę; wyobraziłem sobie, że musi być ładna. Spędzam rano na oglądaniu rycin wystawionych na bulwarze, po czym w południe przebywam salon poprzedzający sypialnię hrabiny.

— Pani dzwoniła na mnie w tej chwili — mówi panna służąca — wątpię, aby ją można było zobaczyć.

— Zaczekam — mówię, siadając w fotelu.

Otwierają się żaluzje, panna służąca wbiega i mówi.

— Pani prosi.

Ze słodyczy jej głosu odgadłem, że pani nie ma pieniędzy na weksel. Jakże piękna była kobieta, którą wówczas ujrzałem! Zarzuciła w pośpiechu na nagie ramiona kaszmirowy szal, który tak szczelnie otulał jej kształty, że można było odczytać ich nagość. Peniuar przybrany riuszkami białymi jak śnieg świadczył, że pani musi wydawać rocznie około dwóch tysięcy na pranie. Czarne włosy wymykały się w grubych puklach spod chusteczki niedbale zawiązanej sposobem kreolek. Rozrzucone łóżko świadczyło o niespokojnym śnie. Malarz zapłaciłby chętnie, aby móc być przez kilka chwil świadkiem tej sceny. Pod rozkosznie upiętymi draperiami poduszka rzucona na niebieską jedwabną kołdrę, której koronki rysowały się wyraźnie na tym błękitnym tle, zachowała wpół zatarty odcisk kształtów, pobudzający wyobraźnię. Na szerokiej skórze niedźwiedziej, zasłanej u stóp lwów rzeźbionych w mahoniu łóżka błyszczały białe atlasowe pantofelki porzucone niedbale przez osobę zmęczoną balem. Na krześle pognieciona suknia włoczyła się rękawem

Błoto

po ziemi. Pończochy, które zdmuchnąłby najłżejszy przeciąg, leżały skręcone pod fotelem. Białe podwiązki sphywały z kozetki. Kosztowny, na wpół rozwinięty wachlarz lśnił się na kominku. Szuflady komody były otwarte. Kwiaty, diamenty, rękawiczki, bukiet, pasek, leżały porozrzucane. Czułem w powietrzu mdłą woń perfum. Wszystko tchnęło tam zbytkiem i nieładem, pięknnością bez harmonii. Ale już przyczajona pod spodem nęcza wysuwała głowę i pokazywała ostre zęby jej lub jej kochankowi. Zmęczona twarz hrabiny podobna była do tego pokoju zasłanego szczątkami zabawy. Te rozrzucone szmatki budziły we mnie politowanie; skupione razem przywiodły kogoś wczoraj do szaleństwa. Te ślady miłości porażonej wyrzutem, ten obraz marnotrawstwa, zbytku i szumu zdradzały tantalowe wysiłki dla schwycenia umykających uciech. Lekkie różowe plamki na twarzy młodej kobiety świadczyły o delikatności cery, ale rysy były jakby nabrzmiałe, a ciemna obwódka pod oczami zdawała się silniej zarysowana niż zwykle. Ale natura jej była dość silna, aby te ślady wybryków nie kaziły jej piękności. Oczy jej błyszcząły. Podobna do owych Herodiad stworzonych pędzlem Leonarda da Vinci (handlowałem niegdyś obrazami), wspaniała była życiem i siłą. Nic nie było wątpliwe w jej kształtach ani rysach: budziła miłość i zdawała się silniejsza od miłości. Podobała mi się. Od dawna już moje serce nie zabiło. Byłem tedy już zapłacony! Dałbym tysiąc franków za wrażenie, które by mi przypomniało moją młodość.

— Proszę pana — rzekła, podając mi krzesło — czy pan będzie łaskaw zaczekać?

— Aż do jutra południa, proszę pani — odparłem, chowając weksel, który jej przedstawiłem — mam prawo zaprotestować dopiero o tej godzinie.

Przy czym w duchu mówiłem sam do siebie:

„Zapłać za swój zbytek, za swoje nazwisko, zapłać za swoje szczęście, zapłać za przywileje, których zażywasz. Aby ubezpieczyć swoje dostatki, bogacze wymyślili trybunały, sędziów i tę gilotynę — świecę, w której spalają się naiwni. Ale dla was, co sypiacie na jedwabiu i pod jedwabiem, istnieją wyrzuty, istnieją zgrzytania zębów skryte pod uśmiechem i paszcze tajemniczych lwów, które was kęsa w serce”.

— Protest! Pan to serio mówi? — wykrzyknęła, patrząc na mnie — miałaby pan dla mnie tak mało względów?

— Gdyby król mi był winien, pani, i gdyby mi nie zapłacił, pozwałbym go jeszcze prędzej niż każdego innego.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

— Nie ma mnie! — zawołała rozkazująco młoda kobieta.

— Anastazjo, ja chciałbym cię zobaczyć.

— Nie w tej chwili, mój drogi — odparła głosem mniej szorstkim, mimo to pozbawionym słodyczy.

— Żartujesz chyba, przecież ty z kimś rozmawiasz — odparł, wchodząc, ktoś, kto mógł być tylko hrabią.

Hrabina spojrzała na mnie, zrozumiałem ją, stała się mą niewolnicą. Był czas, młody człowieku, kiedy byłbym może dość głupi, aby nie oddać weksla do protestu. W roku 1763 w Pondichery zlitowałem się nad kobietą, która ze mnie ładnie zadrwiła! Zasługiwałem na to, po cóż jej uwierzyłem?

— Czego pan sobie życzy? — spytał hrabia.

Ujrzałem, iż ta kobieta zadrzała od stóp do głowy; biała i gładka, atlasowa skóra na szyi stała się szorstka: dostała, jak pospolicie się mówi, gęsiej skórki. Ja się śmiałem, mimo iż żaden mięsień nie drgnął mi na twarzy.

— To ktoś z moich dostawców — rzekła.

Hrabia odwrócił się plecami, ja wyciągnąłem do połowy z kieszeni weksel. Na ten nieubłagany ruch, młoda kobieta podeszła do mnie i podała mi brylant:

— Weź pan i idź — rzekła.

Wymieniliśmy te dwa walory i wyszedłem, skłoniwszy się. Diament był wart dla mnie co najmniej tysiąc dwieście franków. Ujrzałem w dziedzicu chmarę lokajów, którzy czyścili swoje liberie, szcztokowali buty i myli wspaniałe powozy.

„Oto — mówiłem sobie — co sprowadza tych ludzi do mnie. Oto co pcha do tego, aby kraść przyzwoicie miliony, aby zdradzać swój kraj. Aby się nie zabłócić idąc piechotą, wielki pan lub ten, co go małpuje, bierze raz porządną kąpiel w błocie!”



W tej chwili brama wjazdowa otwarła się i wpuściła kabriolet młodego człowieka, tego, który mi przyniósł weksel.

— Panie — rzekłem doń, skoro wysiadł — oto dwieście franków, które pan zechce oddać pani hrabinie i oświadczyć jej, że przez tydzień będę trzymał fant, który mi wręczyła dziś rano.

Wziął dwieście franków i uśmiechnął się drwiąco, jak gdyby mówiąc: „A, zapłaciła. Na honor, tym lepiej!”.

Wyczytałem na tej twarzy przyszłość hrabiny. Ten ładny paniczyk, ten blondynek, zimny gracz bez duszy, zrujnuje się, zrujnuje ją, zrujnuje męża, zrujnuje dzieci, zje ich mienie i spowoduje więcej nieszczęść w salonach, niżby ich sprawiła w szeregach bateria moździerzy.

Udałem się na ulicę Montmartre do panny Malvaut. Wszedłem po stromych schodach na piąte piętro. Wprowadzono mnie do mieszkania złożonego z dwóch pokojów, gdzie wszystko było czyste jak nowy dukat. Nie spostrzegłem ani śladu kurzu na meblach w pierwszym pokoju, gdzie mnie przyjęła panna Fanny, typowa młoda paryżanka. Była ubrana skromnie: główka wykwiwna i świeża, uprzejma minka, starannie zaczesane ciemne włosy, odwinęte na skroniach, przydawały wdzięku błękitnym i czystym jak kryształ oczom. Światło przechodzące przez proste firaneczki w oknach rozlewało łagodny blask na tej skromnej twarzy. Liczne kawałki płótna leżące dokoła zdradziły mi jej zwykłe zajęcie, krajała bieliznę. Była tam niby duch samotności. Podałem jej weksel, mówiąc, że jej nie zastałem rano.

— Ależ — rzekła — pieniądze były u odźwiernego.

Udałem, że nie słyszę.

— Panienska widocznie wychodzi bardzo rano?

— Wychodzę rzadko z domu, ale kiedy się pracuje w nocy, trzeba się czasem wykapać.

Spojrzałem na nią. Od jednego rzutu oka zrozumiałem wszystko. Była to dziewczyna skazana na pracę przez jakieś nieszczęścia. Pochodziła zapewne z rodziny uczciwych rolników, bo miała na twarzy nieco piegów, jak często ludzie urodzeni na wsi. Jakiś powab cnoty błyszczał w jej rysach.

Miałem uczucie, że oddycham atmosferą uczciwości, niewinności, która odświeża moje płuca. Biedne niniwiątko<sup>6</sup>! Ona wierzyła w coś, nad prostym, drewnianym łóżkiem wisiał krucyfiks strojny w dwie gałązki bukszpanu. Byłem prawie wzruszony. Byłbym gotów ofiarować jej pieniądze tylko na dwanaście procent, aby jej ułatwić kupno jakiego intratnego zakładu. „Ale — pomyślałem — może ma jakiegoś kuzynka, który skorzysta z jej podpisu i wyzyska biedną dziewczynę”. Odszedłem tedy, broniąc się memu napadowi wspaniałomyślności, nieraz bowiem miałem sposobność stwierdzić, że kiedy dobroczynność nie szkodzi dobroczyńcy, zarzyna obdarowanego. Kiedy pan wszedł tutaj, myślałem, że z Fanny Malvaut byłaby poczciwa żoneczka; porównywałem jej czyste i samotne życie z życiem tej hrabiny, która, już poznawszy się z wekslem, stoczy się na samo dno występku!

— I cóż — dodał po chwili głębokiego milczenia, w czasie którego przyglądałem mu się — czy pan sądzi, że to jest nic wnikać w ten sposób w najtajniejsze zaułki ludzkiego serca, przeżywać życie drugich, widzieć je w całej nagości? Obrazy wciąż nowe: ohydne rany, śmiertelne zgryzoty, sceny miłości, nieszczęścia kończące się w nurcie Sekwany, młodzieńcze uciechy wiodące na rusztowanie, śmiechy rozpachy i wspaniałe uczy. Wczoraj tragedia: poczciwy ojciec rodziny zaczadza się, bo nie może wyżywić dzieci. Jutro komedia: młody człowiek próbuje odegrać ze mną scenę Don Juana z panem Niedzielą<sup>7</sup>, z współczesnymi wariantami. Słyszałeś zapewne hymny na cześć naszych modnych kaznodziejów; zachodziłem czasami posłuchać ich dla zabicia czasu; zmienili oni moje poglądy, ale postępowania — jak powiedział nie wiem już kto — nigdy. Otóż ci dobrzy ojcowie, zarówno jak wasz Mirabeau, Vergniaud i inni, są proste jąkały wobec wymowy, jaką ja słyszę. Często zakochana młoda dziewczyna, stary kupiec na krawędzi bankrucstwa, matka chcąca ukryć błąd syna, artysta bez chleba, magnat na schyłku faworu i dla

Milosierdzie, Dar

<sup>6</sup>niniwiątko (neol.) — gra znaczeń: temat od *Niniwa* (jedno z „grzesznych” miast w Biblii; tu: synonim Paryża w XIX w.), forma od: niewiniątko. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>scena *Don Juana z panem Niedzielą* — por. Moliere, *Don Juan*. [przypis tłumacza]

braku pieniędzy mający postradać owoc swych zabiegów, przyprawili mnie o dreszcz potęgą swego słowa. Ci wspaniali aktorzy grali dla mnie samego i nie mogąc mnie oszukać. Mój wzrok jest jak wzrok Boga, czytam w sercach. Nic nie skryje się przede mną. Nie odmawia się niczego temu, kto może rozwiązać i zawiązać worek. Jestem dość bogaty, aby kupić sumienie tych, co kręcą ministrami, zacząwszy od ich woźnych aż do kochanek: czyż to nie jest Władza? Mogę mieć najpiękniejsze kobiety i ich najtkliwsze pieszczoty, czyż to nie jest Rozkosz? Władza i Rozkosz czyż nie streszczają całego waszego porządku społecznego? Jest nas w Paryżu dziesiątek takich milczących i nieznanymi królów, panów waszego losu. Czy życie nie jest machiną, której pieniądz daje ruch? Wiedz, że środki spływają się zawsze ze skutkami: nigdy nie zdołasz oddzielić duszy od zmysłów, ducha od materii. Złoto jest duchem waszego obecnego społeczeństwa.

Związani wspólnym interesem, zbieramy się w pewne dni tygodnia w kawiarni Temidy, koło Nowego Mostu. Tam wymieniamy tajemnice finansów. Żaden majątek nie może nas oszukać, posiadamy tajemnice wszystkich rodzin. Mamy swoją *czarną księgę*, gdzie wpisuje się najważniejsze daty dotyczące kredytu publicznego, bankowości, handlu. My, kaziści giełdy, tworzymy Świętą Inkwizycję, która sądzi i rozważa najbłahsze czynności ludzi posiadających jakiś majątek, i zawsze zgadujemy prawdę. Jeden z nas dogłąda sądownictwa, drugi finansów, inny administracji, inny handlu. Ja mam oko na bogatą młodzież, na artystów, światowców i na graczy, najbardziej interesującą częścią Paryża. Każdy opowiada nam sekrety sąsiada. Zawiedzione namiętności, urażone próżności są gadatliwe. Nałogi, gorycz, zemsta, to najlepsi agenci policyjni. Jak ja, tak i moi koledzy użyli wszystkiego, nasycili się wszystkim i doszli do tego, że kochają władzę i pieniądze jedynie dla władzy i pieniądza. Tutaj — rzekł pokazując swój nagi i zimny pokój — najpłomienniejszy kochanek, który gdzie indziej obraża się o lada słówko i dobywa szpady z pochew, tu prosi ze złożonymi rękami! Tutaj najdumniejszy kupiec, tu kobieta najbardziej harda swą pięknnością, najbardziej junacki żołnierz, wszyscy proszą ze łzą bólu lub wściekłości w oku. Tu błaga najślawniejszy artysta i pisarz, którego nazwisko przejdzie do przytomności. Tutaj wreszcie — dodał, przykładając rękę do czoła — znajduje się waga, na której ważą się spadki i interesy całego Paryża. Czy sądzisz teraz, że nie ma rozkoszy pod tą białą maską, której martwota dziwiła cię tak często?

To mówiąc, obrócił ku mnie swą bladą twarz cuchnącą pieniądzem.

Wróciłem do siebie zdumiony. Ten drobny, suchy starzec urósł mi nagle. Zmienił się w oczach w jakąś fantastyczną postać, wcielenie potęgi złota. Czulem wstręt do życia i ludzi. „Wszystko więc sprowadza się do pieniędzy?” — pytałem sam siebie. Przypominam sobie, że zasnąłem bardzo późno. Widziałem dokoła stosy złota. Śniłem o pięknej hrabinie. Wyznaję nawet ze wstydem, że usunęła najzupełniej w cień skromną i czystą istotę skazaną na pracę i mrok; ale nazajutrz rano poprzez mgły przebudzenia słodka Fanny objawiła mi się w całej swojej krasie, myślałem już tylko o niej.

— Chce pan wody z cukrem? — rzekła wicehrabina, przerywając.

— Chętnie — odparł.

— Ale nie widzę w tym nic, co by nas mogło dotyczyć — rzekła pani de Grandlieu, dzwoniąc.

— Tam do kata! — zaklął Derville swoją ulubioną klątwą — zaraz obudzę pannę Kamillę, kiedy jej powiem, iż szczęście jej było niegdyś w rękach papy Gobsecka; że jednak nieborak umarł, licząc osiemdziesiąt dziewięć lat, pan de Restaud stanie się niebawem posiadaczem ładnej fortuny. To wymaga objaśnienia. Co się tyczy Fanny Malvaut, znacie ją państwo, to moja żona!

— Pocziwiec — rzekła wicehrabina — on by się do tego przyznał przy dwudziestu osobach ze zwykłą swą szczerością.

— Krzycałbym to całemu światu — rzekł adwokat.

— Pij pan, pij, mój dobry Derville. Nie będziesz nigdy niczym więcej, jak tylko najszczęśliwszym i najlepszym z ludzi.

— Zostawiłem pana przy ulicy du Helder u jakiejś hrabiny — wykrzyknął wuj, który widocznie zdrzemnął się trochę i teraz się ocknął. — Coś pan z nią zrobił?

— W kilka dni po rozmowie ze starym Holendrem, broniłem mej tezy<sup>8</sup> — zaczął Derville. — Zostałem doktorem praw, potem adwokatem. Zaufanie, jakie miał we mnie stary sknera, wzmoгло się znacznie. Radził mi się gratis w drażliwych sprawach, na które puszczał się na pewniaka, mimo iż zdążyłby się nieszczególnie wszystkim prawnikom. Ten człowiek, na którego nikt nie miał żadnego wpływu, słuchał moich rad z niejakim szacunkiem. Prawda, że wychodził na nich bardzo dobrze. Wreszcie w dniu, gdy zostałem pierwszym dependentem kancelarii, gdzie pracowałem od trzech lat, opuściłem dom przy ulicy des Grés i wprowadziłem się do mego pryncypała: dostałem stół, mieszkanie i sto pięćdziesiąt franków miesięcznie. To był piękny dzień! Kiedym się żegnał z lichwiarzem, nie objawił mi ani przyjaźni, ani żalu, nie zachęcał mnie, abym go kiedy odwiedził, zatopił jedynie we mnie ów wzrok, który u niego zdradzał poniekąd dar jasnowidzenia. Po tygodniu dawny sąsiad zaszedł do mnie, przyniósł mi sprawę dość trudną, jakieś wywłaszczenie; dalej uprawiał swoje bezpłatne porady równie bezceremonialnie, co gdyby mi za nie płacił. Z końcem drugiego roku, w latach 1818–1819, pryncypał mój, hulaka i utracjusz, znalazł się w ciężkich opałach i zmuszony był sprzedać kancelarię. Mimo iż w owym czasie kancelarie nie doszły jeszcze ogromnych cen, jakie mają dzisiaj, mój pryncypał oddawał swoją niemal darmo, żądając tylko sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Człowiek czynny, fachowy, inteligentny mógł żyć przyzwoicie, opłacić procenty od tej sumy i wypłacić się w ciągu dziesięciu lat, byleby uzyskał tylko trochę zaufania. Ja, siódme dziecko drobnych mieszczan z Noyon, nie miałem ani obola i nie znałem w świecie innego kapitalisty prócz starego Gobsecka. Przypływ ambicji i jakiś słaby błysk nadziei natchnęły mnie odwagą udania się doń. Pewnego wieczora zatem powędrowałem z wolna ulicą des Grés. Serce biło mi jak młotem, kiedy pukałem do ponurego domu. Przypominałem sobie wszystko, co mi niegdyś mówił stary skąpiec w epoce, gdy jeszcze nie domyślałem się wzruszeń, które zaczynają się na progu tych drzwi. Miałem go tedy prosić, jak tylu innych. „Nie! — rzekłem sobie — uczciwy człowiek winien wszędzie zachować godność. Majątek niewart jest podłości, okaże się pozytywistą tak samo jak on”.

Od czasu, gdy się wyprowadziłem, stary Gobseck najął mój pokój, aby nie mieć sąsiada; kazał też wprawić kratę w drzwi, otworzył mi dopiero wówczas, kiedy mnie poznał.

— I cóż — rzekł swoim cichutkim głosem — pryncypał sprzedaje kancelarię?

— Skąd pan wie? Mówił o tym dopiero mnie.

Wargi starca ściągnęły się na kształt franki, a temu niememu uśmiechowi towarzyszyło zimne spojrzenie.

— Trzeba było aż tego, abym cię ujrzał u siebie — dodał sucho po pauzie, w czasie której stałem zmieszany.

— Niech mnie pan posłucha, panie Gobseck — odparłem z całym spokojem, na jaki mogłem się zdobyć w obliczu tego starca, który wlepił we mnie niewzruszone oczy, rażące mnie swoim blaskiem.

Zrobił gest, jak gdyby chciał powiedzieć: „Mów”.

— Wiem, że bardzo trudno jest pana rozczulić. Toteż nie będę tracił mojej wymowy na to, by panu odmalować położenie dependenta bez grosza. Mam nadzieję jedynie w panu; nie mam w świecie innego serca niż pańskie, w którym bym mógł znaleźć zrozumienie swojej przyszłości. Ale dajmy pokój sercu. Interesy trzeba załatwiać po kupiecku, a nie romansowo. Oto fakty. Kancelaria pryncypała przynosi rocznie w jego rękach dwadzieścia tysięcy franków, ale sądzę, że w moich warta będzie czterdzieści. Chce mi ją sprzedać za pięćdziesiąt tysięcy talarów. Czuję tutaj — rzekłem, uderzając się w czoło — że, gdyby mi pan pożyczył sumę potrzebną na to kupno, wypłaciłbym się do dziesięciu lat.

— To się nazywa mówić — odparł Gobseck, podając mi rękę. — Nigdy od czasu, jak się zajmuję interesami, nikt jaśniej nie wyłożył mi powodów swej wizyty. Gwarancje? — rzekł, mierząc mnie oczyma od stóp do głów. — Żadne — dodał po pauzie. — Ile pan masz lat?

— Będę miał za dziesięć dni dwadzieścia pięć lat — odparłem — inaczej nie mógłbym traktować o kupno.

— Słusznie!

<sup>8</sup>teza — tu: praca doktorska. [przypis edytorski]

— A więc?

— Możliwe.

— W takim razie trzeba by działać szybko, inaczej podbiją mi cenę.

— Przynies mi pan jutro swoją metrykę, pomówimy o tej sprawie, pomyślę.

Nazajutrz o ósmej byłem u starego. Wziął urzędowy papier, włożył okulary, kaszlnął, splunął, zawinął się w czarny szlafrok i przeczytał od deski do deski wyciąg metrykalny. Następnie obrócił go parę razy w rękach, spojrzął na mnie, znów kaszlnął, pokręcił się na krześle i rzekł:

— Spróbujemy ubić ten interes.

Zadrżałem.

— Kapitały moje przynoszą mi pięćdziesiąt procent — dodał — czasem sto, dwieście, pięćset procent.

Na te słowa zbladłem.

— Ale przez wzgląd na naszą znajomość zadowolę się dwunastoma i pół od sta na... — Zawahał się. — Więc dobrze, tak, dla pana zadowolę się trzynastoma procentami rocznie. Czy to panu odpowiada?

— Owszem — odpowiedziałem.

— Ale, jeżeli to za wiele, brońże się, Grocjuszu.

Nazywał mnie w żartach Grocjuszem.

— Żądając od ciebie trzynastu procent, pełnię moje rzemiosło, ty się zastanów, czy możesz tyle zapłacić. Nie lubię ludzi, którzy się godzą na wszelkie warunki. Czy to za wiele?

— Nie — odparłem — dam sobie radę, przysiadując trochę więcej faldów.

— Ba! — rzekł, spoglądając na mnie ironicznie spod oka — klienci zapłacą.

— Nie! do kroć diabłów — krzyknąłem — ja sam. Wołałbym sobie dać rękę uciąć, niżbym miał obdzierać ludzi ze skóry.

— Dobranoc — rzekł stary.

— Ależ istnieje taryfa na honoraria.

— Nie ma taryfy — odrzekł — na transakcje, na zwłoki, na polubowne ugody. Możesz wówczas liczyć sobie tysiąc franków, sześć tysięcy franków nawet, zależnie od rozmiaru sprawy, za konferencje, za wizyty, za koncepty aktów, za memoriały i całą gadaniinę. Trzeba umieć znaleźć takie sprawy. Polecę cię jako najuczciwszego i najrzęczniejszego z adwokatów, przyślę ci tyle tego rodzaju procesów, że twoi koledzy pękną z zazdrości. Werbrust, Palma, Gigonnet, moi koledzy, powierzą ci swoje wywłaszczenia, a sam Bóg wie, ile ich mają! Będziesz miał w ten sposób dwie klientele, tę, którą kupujesz, i tę, którą ja ci dam. Powinien byś właściwie dać mi piętnaście procent od moich stu pięćdziesięciu tysięcy.

— Niech będzie, ale nie więcej — rzekłem ze stanowczością człowieka, który nie pójdzie ani na krok dalej.

Stary Gobseck złagodniał, wydawał się ze mnie zadowolony.

— Zapłacę sam — dodał — twemu pryncypałowi, tak aby się dobrze zabezpieczyć na wartości i na kaucji.

— Och, rękojmie, jakie pan chce.

— A potem pokryjesz moją sumę w piętnastu wekslach podpisanych *in blanco*, każdy na sumę dziesięciu tysięcy franków.

— Dobrze, byleby to podwójne pokrycie zostało stwierdzone.

— Nie! — przerwał Gobseck. — Dlaczego chcesz, abym ja miał więcej zaufania do ciebie niż ty do mnie?

Zamilkłem.

— I będziesz — dodał dobrodusznym tonem — prowadził moje sprawy nie żądając honorariów, dopóki będę żył, nieprawdaż?

— Dobrze, pod warunkiem, abym nie musiał wyklądać żadnych kosztów.

— Słusznie — odparł. — Ale, ale — dodał starzec, którego fizjonomia z trudem oblekła wyraz dobroduszości — pozwolisz, abym cię odwiedzał?

— Zawsze mi będzie miło.

— Tak, ale rano to będzie trudno. Ty będziesz miał swoje sprawy, ja mam moje.

— Niech pan przychodzi wieczór.

— Och, nie, musisz bywać w świecie, odwiedzać klientów. Ja mam moich przyjaciół, moją kawiarnię.

„On ma przyjaciół!” — pomyślałem.

— A więc — rzekłem — czemuż by pan w takim razie nie miał przyjść w porze obiadu?

— Otóż to — rzekł Gobseck. — Po giełdzie, o piątej. Więc dobrze, będę przychodził co środę i co sobotę. Będziemy sobie gwarzyli o interesach jak para przyjaciół. He, he! Ja bywam czasami wesół. Dasz mi skrzydełko kuropatwy i kieliszek szampańskiego, pogadamy sobie. Wiem wiele rzeczy, które dziś już można mówić, a które cię nauczą znać ludzi, a zwłaszcza kobiety.

— Niech będzie kuropatwa i kieliszek szampańskiego.

— Nie rób szaleństw, inaczej straciłbyś moje zaufanie. Nie urządzaj domu na wielką stopę. Weź sobie starą służącą, tylko jedną. Będę cię odwiedzał, aby się upewnić o twoim zdrowiu. Lokuję kapitał na twoją głowę, muszę dopilnować twoich spraw. No, przyjdź dziś wieczór z pryncypałem.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jeżeli pytanie nie jest niedyskretne — rzekłem do staruszka, kiedyśmy dochodzili do drzwi — na co w tym wszystkim była potrzebna moja metryka?

Jan Ester van Gobseck wzruszył ramionami, uśmiechnął się chytrze i odparł:

— Jaka ta młodość głupia! Dowiedz się tedy, panie adwokacie, — bo trzeba byś to wiedział, iżbyś się sam nie dał złapać — że przed trzydziestką uczciwość i talent są jeszcze jakąś hipoteką. Później nie można już polegać na człowieku.

I zamknął drzwi.

W trzy miesiące później byłem adwokatem. Niebawem miałem szczęście, pani hrabino, podjąć starania o odzyskanie pani mienia. Wygrana tego procesu dała mnie poznać. Mimo ogromnych procentów płaconych Gobseckowi, w niespełna pięć lat spłaciłem go zupełnie. Zaślubiłem Fanny Malvaut, którą pokochałem szczerze. Podobieństwo naszych losów, pracy, powodzenia, wzmocniło siłę naszych uczuć. Wuj jej, wzbogacony rolnik, umarł, zostawiając jej siedemdziesiąt tysięcy franków, które pomogły mi się wypłacić. Od tego dnia życie moje było pasmem szczęścia i pomyślności. Nie mówmy tedy już o mnie, nie ma nieznośniejszej rzeczy niż człowiek szczęśliwy. Wróćmy do moich bohaterów.

W rok po kupnie kancelarii zaciągnięto mnie, niemal wbrew mej woli, na kawalerskie śniadanko. Śniadanie to było rezultatem zakładu, który jeden z moich kolegów przegrał do młodego człowieka bardzo wówczas modnego w eleganckim świecie. Pan de Trailles, ozdoba *dandyzmu* owej epoki, cieszył się olbrzymią reputacją...

— Ależ cieszy się nią dziś jeszcze — wtrącił hrabia de Born, przerywając adwokatowi. — Nikt lepiej nie umie się ubrać, nikt nie powozi zręczniejsz od niego. Maksym umie grać, jeść i pić z większym wdziękiem niż ktokolwiek w świecie. Zna się na koniach, na kapeluszach, na obrazach. Wszystkie kobiety szaleją za nim. Wydaje około stu tysięcy franków rocznie, a nikt nie wie ani o jednej jego wiosce, nie widział u niego jednego kuponu. Jest to typ błędnego rycerza naszych salonów, naszych buduarów, naszych bulwarów, amfibia mająca tyleż z kobiety, co z mężczyzny... Hrabia Maksym de Trailles to osobliwa istota; zdolny do wszystkiego, a niezdolny do niczego, budzący postrach i wzdrganie, wykształcony i ignorant, równie zdolny do dobrodziejstwa jak do zbrodni, to podły, to szlachetny, bardziej okryty błotem niż splamiony krwią, mający więcej trosk niż wyrzutów, więcej zajęty trawieniem niż myśleniem, udający namiętność, a niezdolny czuć nic. Błyszczące ogniwo, które mogłoby łączyć galery z wielkim światem. Maksym de Trailles to człowiek z owej klasy wybitnie inteligentnej, z której strzela czasami Mirabeau, Pitt, Richelieu, ale która częściej wydaje hrabiego Horna, Fouquier-Tinville'a lub Coignarda.

— A więc — podjął Derville, wysłuchawszy tego wizerunku — słyszałem wiele o tej osobistości od biednego ojca Goriot, mego klienta, ale, mimo iż spotykając go w świecie, uniknąłem już kilka razy niebezpiecznego zaszczytu tej znajomości. Jednakże kolega mój tak nalegał, abym przyszedł na to śniadanie, że nie mogłem odmówić, nie narażając się na opinię fujary. Trudno byłoby pani wyobrazić sobie kawalerskie śniadanie, pani wicehrabino. Niesłychany przepych i wykwint, zbytek sknery, który przez próżność stałby się na jeden dzień rozrzutnikiem. Wchodząc, człowiek jest zdumiony porządkiem, jaki pa-

nuje na stole, olśniewającym od srebra, kryształów, najcieńszej bielizny. Życie w samym kwiecie: młodzi ludzie są czarujący, uśmiechają się, mówią z cicha, podobni są do młodej oblubienicy, wszystko dokoła nich oddycha dziewiczością. W dwie godziny później, można by rzec, pobjawisko po walce: wszędzie potłuczone kieliszki, pomięte, pogniecione serwety, napoczęte półmiski, na które wstręt bierze patrzeć. I do tego wszystkiego krzyki, od których pęka głowa, komiczne toasty, huragan dobrych i głupich konceptów, czerwone twarze, rozpalone oczy, które nie mówią już nic, bezwiedne wynurzenia, które mówią wszystko. Pośród piekielnego zgiełku jedni tłuką butelki, drudzy śpiewają, ludzie wyzywają się, ściskają lub biją. W powietrzu unosi się nieznośna woń złożona ze stu zapachów i krzyki złożone ze stu głosów. Nikt nie wie już, co je, co pije, ani co mówi. Jedni są smutni, drudzy szczebioczą; tego ogarnia monomania i powtarza jedno słowo niby rozbujany dzwon; tamten chce przekrzyczeć zgiełk; najrozsądniejszy proponuje orgię! Gdyby wszedł tam człowiek przy zdrowych zmysłach, myślałby, że trafił na bachanię.

Wśród tego to tumultu pan de Trailles starał się wślizgnąć w moje łaski. Zachowałem mniej więcej przytomność, miałem się na baczności. Co do niego, mimo że udawał solennie pijanego, panował nad sobą i myślał o interesach. W istocie nie wiem, jak się to stało, ale kiedy wychodziłem z restauracji około dziewiątej wieczór, przyrzekłem mu, że go nazajutrz zaprowadzę do starego Gobsecka. Słowa: honor, cnota, hrabina, kobieta uczciwa, nieszczęście, wkradły się dzięki jego złotym ustom niby czarami w naszą rozmowę.

Kiedym się obudził nazajutrz rano i chciałem sobie przypomnieć, com robił w wilię<sup>9</sup>, z trudnością zdołałem powiązać myśli. Coś mi się majaczyło, że córce jednego z moich klientów grozi utrata reputacji, szacunku i miłości męża, o ile nie znajdzie do południa pięćdziesięciu tysięcy franków. Były tam długi karciane, rachunki powoźnika, pieniądze stracone nie wiem już na co. Mój czarujący towarzysz upewnił mnie, że hrabina jest dosyć bogata, aby kilkoma latami oszczędności wyrównać szczerbę, jaką uczyni w swoim majątku. Dopiero wówczas zaczynałem zgadywać powód nalegań mego towarzysza. Wyznaję ze wstydem, że nie domyślałem się zupełnie, jak bardzo ważne było dla starego Gobsecka pogodzić się z tym dandysem.

W chwili, gdym wstawał, wszedł pan de Trailles.

— Panie hrabio — rzekłem po zwykłym powitaniu — nie widzę zgoła, w czym mógłby mnie pan potrzebować, aby się zgłosić do pana Gobsecka, najgrzeczniejszego, najpotulniejszego z kapitalistów. Da panu z pewnością pieniądze, jeżeli ma, lub raczej jeżeli mu pan przedstawi odpowiednią rękojmię.

— Panie — odparł — nie mam bynajmniej zamiaru zmuszać pana do oddania mi przysługi, nawet jeśli mi pan przyrzekł.

„Tam do kata — rzekłem sobie w duchu — czy mam pozwolić, aby ten człowiek myślał, że ja nie dotrzymuję słowa?”

— Miałem zaszczyt powiedzieć panu wczoraj, że nie bardzo nie w porę posprzeczał ze starym Gobseckiem — dodał. — Otóż, ponieważ nie ma drugiego człowieka w Paryżu, który byłby w stanie wypłuć od jednego razu w samym końcu miesiąca setkę tysięcy franków, prosiłem pana, abyś mnie z nim pogodził. Ale nie mówmy już o tym...

Pan de Trailles popatrzył na mnie wzrokiem grzecznie impertynenckim i gotował się do wyjścia.

— Jestem gotów towarzyszyć panu — rzekłem.

Kiedysmy przyjechali na ulicę des Grès, dandys rozglądał się dokoła siebie z uwagą i niepokojem, które mnie zdziwiły. Twarz jego bladła, czerwieniała, żółkła na przemian, parę kropel potu wystąpiło na jego czoło, gdy ujrzał bramę Gobsecka. W chwili, gdyśmy wysiadali, dorożka wjechała w ulicę des Grès. Sokole oko młodzieńca pozwoliło mu rozpoznać kobietę w głębi dorożki. Wyraz dziękij niemal radości ożywił jego twarz, zawołał przechodzącego chłopczyka i dał mu konia do trzymania. Poszliśmy do starego lichwiarza.

— Panie Gobseck — rzekłem — przyprowadzam panu jednego z moich najbliższych przyjaciół (któremu tyle ufam co diabłu, szepnąłem na ucho starcowi). Przez wzgląd na mnie, raczy mu pan wygodzić (na zwykły procent) i wydobyć go z kłopotu (jeśli to panu dogadza).

<sup>9</sup>w wilię (daw.) — wczoraj. [przypis edytorski]

Pan de Trailles skłonił się lichwiarzowi, usiadł i przybrał dworską postawę, której wytworna uniżoność oczarowałaby każdego. Ale Gobseck siedział przy kominku nieruchomy, niewzruszony. Gobseck podobny był do posągu Woltera w przedsionku Komedii Francuskiej; uchylił lekko, jakby dla ukłonu, użytego kaszkietu, a kawałek żółtej czaszki, który pokazał, dopełniał tego podobieństwa z marmurem.

— Mam pieniądze dla moich klientów — rzekł.

— Bardzo się tedy pan gniewa, że się zrujnował gdzie indziej niż u pana — rzekł, śmiejąc się, hrabia.

— Zrujnował! — odparł Gobseck z ironią.

— Chce pan powiedzieć, że nie można zrujnować człowieka, który nie ma nic? Ale znajdź pan w Paryżu piękniejszy *kapitał!* — wykrzyknął elegant, wstając i okręcając się na pięcie.

Ten żarcik niemal serio nie zdołał wzruszyć Gobsecka.

— Czyż nie jestem serdecznym przyjacielem Ronquerolles'a, de Marsay'a, Franchesiniego, obu Vandenessów, Ajuda-Pinto, słowem całej najświetniejszej młodzieży? Grywam do spółki z księciem i ambasadorem, których pan zna. Moje dochody są w Londynie, Karlsbadzie, Baden, w Bath. Czyż to nie jest najwspanialszy przemysł?

— Prawda.

— Robicie ze mnie gąbkę, do kroćset, pozwalacie mi spęcznieć w salonach, aby mnie wycisnąć w krytycznych chwilach, ale wy jesteście także gąbki i śmierć was wycisnie.

— Możliwe.

— Gdyby nie marnotrawcy, cóż by się z wami stało? We dwóch jesteśmy jak dusza i ciało.

— Słusznie.

— No, podajmy sobie ręce, mój stary ojczulku Gobseck, i bądź wspaniałomyślny, jeżeli to jest prawdziwe, słuszne i możliwe.

— Przychodzi pan do mnie — odparł zimno lichwiarz — ponieważ Girard, Palma, Werbrust i Gigonet dławią się od pańskich weksli, które ofiarowują wszędzie z pięćdziesięcioma procentami straty; otóż, ponieważ prawdopodobnie dali za nie jedynie połowę wartości, nie są warte ani dwadzieścia pięć procent. Sługa uniżony. Czy mogę, po sprawiedliwości — ciągnął Gobseck — pożyczyć bodaj szeląga człowiekowi, który winien jest trzydzieści tysięcy franków, a nie ma ani grosza? Przegrał pan przedwczoraj dziesięć tysięcy franków na balu u barona Nucingen.

— Panie — odparł hrabia, mierząc starca oczyma z rzadką beczelnością — moje sprawy pana nic nie obchodzą. Komu dano termin, nie jest nic winien.

— Prawda!

— Moje weksle będą zapłacone.

— Możliwe!

— I w tej chwili kwestia między nami sprowadza się do tego, czy przedstawiam dla pana dostateczne rękojmie na sumę, którą chcę u pana pożyczyć.

— Słusznie.

Turkot dorożki zatrzymującej się u bramy rozległ się w pokoju.

— Pójdę przynieść coś, co panu może wystarczyć — wykrzyknął młody człowiek.

— O mój synu! — wykrzyknął Gobseck, wstając i wyciągając do mnie ręce, skoro utracasz wyszedł — jeżeli ma dobry zastaw, ocalasz mi życie! Ja bym tego nie przeżył. Werbrust i Gigonnet myśleli, że mi splatali figla. Dzięki tobie uśmieję się z nich serdecznie dziś wieczór.

Radość starca miała coś przerażającego. Była to jedyna chwila wylania, jaką miał ze mną. Mimo krótkiego trwania tej radości, nie wyjdzie mi ona nigdy z pamięci.

— Zrób mi tę przyjemność i zostań tutaj — dodał. — Mimo że jestem uzbrojony i pewny mojej ręki jak człowiek, który niegdyś polował na tygrysy i bił się na pokładzie o śmierć i życie, nie dowierzam temu frantowi.

Usiadł z powrotem przed biurkiem. Twarz jego stała się znów blada i spokojna.

— Ho, ho! — rzekł, zwracając się do mnie — ujrzysz z pewnością piękną istotę, o której ci mówiłem niegdyś, słyszę w korytarzu arystokratyczne kroki.

W istocie, młody człowiek wrócił, prowadząc kobietę, w której poznałem ową hrabinę odmalowaną mi niegdyś przez Gobsecka, jedną z córek poczciwego Goriot. Hrabina nie

spojrzała mnie zrazu, stałem przy oknie, wyglądając na ulicę. Wchodząc do ciemnego i wilgotnego pokoju lichwiarza, rzuciła nieufne spojrzenie na Maksyma. Była tak piękna, że mimo jej błędów, żał mi jej było. Jakiś straszliwy lęk miotał jej sercem, szlachetne i dumne rysy nie umiały pokryć konwulsyjnego skurczu. Ten młody człowiek stał się jej złym duchem. Podziwiałem Gobsecka, który cztery lata wprzód z pierwszego wekslu przejrzał los tych dwojga istot.

„Prawdopodobnie — rzekłem sobie — ten potwór z twarzą anioła panuje nad nią wszelkimi możliwymi sprężynami: próżność, zazdrość, rozkosz, wir świata”.

— Ależ — wykrzyknęła wicehrabina — nawet cnoty tej kobiety stały się dla niego bronią. Wyciskał jej lzy poświęcenia, umiał w niej rozpalić szlachetność wrodzoną naszej płci i nadużywał jej czułości, aby jej drogo sprzedawać zbrodnicze rozkosze.

— Wyznaję — rzekł Derville, który nie zrozumiał znaków, jakie mu dawała pani de Grandlieu — że nie płakałem nad losem tej nieszczęśliwej istoty tak błyszczącej w oczach świata, a tak strasznej dla tego, kto czytał w jej sercu; nie, drżałem ze zgrozy, patrząc na jej mordercę, na tego młodego chłopca, którego czoło było tak jasne, usta tak świeże, uśmiech tak uroczy, zęby tak białe, postać podobna do anioła. Stali w tej chwili oboje przed swoim sędzią, który się im przyglądał tak, jak stary dominikanin w szesnastym wieku musiał spoglądać na tortury dwojga Maurów w podziemiach Inkwizycji.

— Proszę pana, czy istnieje sposób spieniężenia tych oto diamentów, ale zastrzegając sobie prawo odkupienia ich — rzekła drżącym głosem podając puzderko.

— Owszem, pani — rzekłem, wtrącając się do rozmowy i pokazując się.

Spojrzała na mnie, poznała mnie, zadrżała widocznie i rzuciła mi spojrzenie, które znaczy w każdym kraju: *Milcz!*

— Jest to — ciągnąłem dalej — akt, który nazywamy sprzedażą z prawem odkupu; układ, który polega na przelaniu własności ruchomej lub nieruchomości na czas określony, po upływie którego można wrócić do posiadania rzeczzonego przedmiotu za zwrotem umówionej kwoty.

Odetchnęła swobodniej. Hrabia Maksym zmarszczył brwi, bał się, że w takim razie lichwiarz da niższą kwotę za diamenty, przedmiot mogący ulec niższe. Gobseck, wciąż nieruchomy, wziął lupę i oglądał w milczeniu garnitur. Gdybym żył sto lat, nie zapomnę obrazu, jaki przedstawiała jego twarz. Błede policzki zabarwiły się; oczy, w których zdawał się odbijać połysk kamieni, błyszczały nienaturalnym ogniem. Wstał, podszedł do okna, trzymał diamenty tuż przy bezzębnych ustach, jak gdyby chciał je pożreć. Mamrotał niewyraźne słowa, podnosząc kolejno bransolety, kolczyki, naszyjnik, diademy, które obracał do światła, aby ocenić ich wodę, białość, szlif; wyjmował je z puzdra, wkładał z powrotem, wyjmował jeszcze, obracał nimi, aby z nich wydobyć cały ogień. Był w tej chwili bardziej dzieckiem niż starcem, a raczej dzieckiem i starcem razem.

— Piękne brylanty! Przed rewolucją to by było warte trzysta tysięcy franków. Co za woda! To prawdziwe azjatyckie diamenty, rodem z Golkondy albo z Wizapur. Zna pani ich cenę? Nie, nie, jeden Gobseck w całym Paryżu zdoła je oszacować. Jeszcze za cesarstwa trzeba by więcej niż dwieście tysięcy, aby sporządzić podobny garnitur.

Uczył gest niesmaku i dodał:

— Dziś diamenty tracą z każdym dniem. Brazylia zasypuje nas nimi od czasu pokoju, zarzuca rynki diamentami mniej białymi niż indyjskie. Kobiety noszą je tylko na Dworze. Pani bywa u Dworu?

Wymawiając te straszliwe słowa, oglądał z niewymowną radością kamienie, jeden po drugim.

— Bez skazy — mówił. — O, ten ma skazę! Oto skaza. Piękny diament.

Jego blada twarz tak jaśniała w ogniu tych kamieni, że w myśli porównywałem ją do owych zielonkawych zwierciadeł, jakie spotyka się w prowincjonalnych gospodach, które chłoną promienie świetlne, nie zwracając ich: podróżny na tyle odważny, aby się przejrzeć w takim lustrze, ma twarz człowieka rażonego apopleksją.

— No i co? — rzekł hrabia, uderzając Gobsecka po ramieniu.

Stary dzieciak drgnął. Porzucił swoje zabawki, położył je na biurku, usiadł i stał się z powrotem lichwiarzem twardym, zimnym i gładkim niby marmurowa kolumna.

— Ile państwu trzeba?

— Sto tysięcy franków na trzy lata — rzekł hrabia.



— Możliwe! — rzekł Gobseck, dobywając z mahoniowego pudrka wagę bezcenną dla<sup>10</sup> jej dokładności, swój klejnot! Zważył kamienie, szacując na oko (i Bóg wie, jak dokładnie!) wagę oprawy. W czasie tej operacji na twarzy lichwiarza walczyła na przemian radość i surowość. Hrabina była pogrążona w osłupieniu, które przemawiało na jej korzyść; zdawało mi się, że mierzy głębię przepaści, w którą się stacza. Były jeszcze wyrzuty w tej duszy kobiecej, trzeba było może tylko wysiłku, miłosiernie wyciągniętej ręki, aby ją ocalić. Spróbowałem.

— Czy te diamenty należą do pani? — spytałem dobitnie.

— Tak, panie — odparła z dumnym spojrzeniem.

— Spisuj akt z prawem odkupu, gaduło! — rzekł Gobseck, wstając i wskazując mi miejsce przy biurku.

— Pani jest pewnie zamężna? — spytałem jeszcze.

Żywo skinęła głową.

— Nie sporządzę aktu! — wykrzyknąłem.

— A to czemu? — rzekł Gobseck.

— Czemu? — odparłem, pociągając starca do okna, aby z nim pomówić po cichu. — Ta kobieta jest pod władzą męża, kupno będzie nieważne, nie będzie pan mógł zasłonić się niewiadomością faktu stwierdzonego w samym akcie. Będzie pan musiał tedy przedstawić diamenty, które u pana złożono, a których waga, wartość i szlif będą opisane.

Gobseck przerwał mi skinieniem głowy i zwrócił się do dwojga winowajców.

— Ma słuszność — rzekł. — Wszystko zmienione. Osiemdziesiąt tysięcy franków gotówką i zostawicie mi diamenty — dodał głuchym szeptem. — Gdy chodzi o ruchomości, posiadanie starczy za tytuł.

— Ale... — odparł młody człowiek.

— Wóz albo przewóz — odparł Gobseck, oddając pudrko hrabinie — za wiele ryzykuję.

— Lepiej by pani zrobiła, rzucając się do nóg męża — szepnąłem, pochylając się ku niej.

Lichwiarz zrozumiał zapewne moje słowa z ruchu warg i spojrzał na mnie lodowato. Twarz młodego człowieka stała się trupio blada. Wahanie hrabiny było widoczne. Ladaco zbliżył się do niej i, mimo że mówił bardzo cicho, usłyszałem:

— Żegnam cię, Anastazio! Bądź szczęśliwa! Co do mnie, jutro będę już wolny od trosk.

— Panie — wykrzyknęła młoda kobieta, zwracając się do Gobsecka — przyjmuję.

— No, więc! — odparł starzec — ależ pani się trudno decyduje, moja piękna pani.

Podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy do banku i wręczył hrabinie.

— A teraz — rzekł z uśmiechem dość podobnym do uśmiechu Woltera — dopełnię sumy trzydziestoma tysiącami weksli, których pełnej wartości nie zaprzeczy mi z pewnością nikt. To szczerze złoto. Pan hrabia powiedział mi dopiero co: „Moje weksle będą zapłacone”.

To mówiąc, podał jej weksle podpisane przez hrabiego, wszystkie zaprotestowane w wilię<sup>11</sup> na żądanie jednego z kolegów, który prawdopodobnie sprzedał je lichwiarzowi pół darmo.

Młody człowiek wydał krzyk wściekłości, w którym można było wyróżnić słowa: „Stary łotr!”.

Gobseck nie drgnął, wy dobył z pudrka parę pistoletów i rzekł chłodno:

— Jako obrażony mam pierwszy strzał.

— Maksymie, przeproś pana — zawołała pojednawczo drżąca hrabina.

— Nie miałem zamiaru pana obrazić — bąknął zmieszany młody człowiek.

— Wiem o tym — odparł spokojnie Gobseck — miał pan zamiar jedynie nie zapłacić swoich weksli.

Hrabina wstała, skinęła głową i znikła, zdjęta widocznie głęboką zgrozą. Pan de Trailles musiał iść za nią; ale nim wyszedł, rzekł:

— Panowie, jeżeli piśniecie słowo o tym wszystkim, poleje się wasza krew albo moja.

Krew, Błoto, Honor

<sup>10</sup>dla — tu: z powodu, ze względu na. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>w wilię (daw.) — wczoraj. [przypis edytorski]

— *Amen* — odparł Gobseck, chowając pistolety. — Aby dać swoją krew, trzeba ją mieć, mój chłopczyku, a ty masz tylko błoto w żyłach.

Skoro drzwi się zamknęły i powozy odjechały, Gobseck wstał i zaczął tańczyć, powtarzając:

— Mam diamenty, mam diamenty! Piękne diamenty! Co za diamenty! I niedrogo. Ha, ha! Panowie Werbrust i Gigonnet, myśleliście, żeście złapali starego Gobsecka! *Ego sum papa!* Jestem mistrzem was wszystkich! W całości zapłacony! Jak oni zgłupieją wszyscy dziś wieczór, kiedy im opowiem całą historię między dwiema partyjkami domina!

Ta posępna radość, to dzikie okrucieństwo wywołane posiadaniem kilku białych kamyków przejęły mnie dreszczem. Byłem niemy i osłupiały.

— Ha, ha! Jesteś tu, mój chłopcze — rzekł. — Zjemy obiad razem. Zabawimy się u ciebie, bo ja nie prowadzę domu. Wszyscy ci restauratorzy ze swymi przyprawami, ze swymi sosami, winami, struliby samego diabła.

Wyraz mój wrócił mu nagle chłodną obojętnością.

— Ty tego nie rozumiesz — rzekł, siadając przy kominku i stawiając blaszankę z mlekiem na węglach. — Chcesz zjeść ze mną śniadanie? — dodał — starczy może na dwóch.

— Dziękuję — odparłem — śniadam dopiero o dwunastej.

W tej chwili szybkie kroki rozległy się w korytarzu. Przybysz zatrzymał się u drzwi Gobsecka i zapukał kilkakrotnie z wyraźną wściekłością. Lichwiarz zajrzał przez zakratowane okienko i wpuścił mężczyznę lat może trzydziestu pięciu, który widocznie mimo tego gniewu nie wydał mu się niebezpiecznym. Nieznajomy, skromnie ubrany, podobny był do nieboszczyka księcia de Richelieu: był to hrabia, którego musieli państwo spotykać, i który — daruje mi pani to wyrażenie — miał arystokratyczne wzięcie dyplomatów waszego świata.

— Panie — rzekł, zwracając się do Gobsecka, który odzyskał spokój — moja żona była tu przed chwilą?

— Możliwe.

— A więc, mój panie! Czy mnie pan nie rozumie?

— Nie mam zaszczytu znać pańskiej małżonki — odparł lichwiarz. — Było u mnie wiele osób dziś rano, kobiet, mężczyzn, panienek podobnych do chłopców i chłopców podobnych do panien. Trudno by mi było...

— Dosyć żartów, proszę pana, mówię o kobiecie, która wyszła od pana przed chwilą.

— Skąd mogę wiedzieć, czy to jest pańska żona — spytał lichwiarz — skoro nigdy nie miałem przyjemności pana widzieć?

— Myli się pan, panie Gobseck — rzekł hrabia z głęboką ironią. — Spotkaliśmy się jednego rana w sypialni mojej żony. Przyszedł pan z wekslem podpisanym przez nią, z wekslem, na który nie ona pobrała pieniądze.

— Nie moją rzeczą było dochodzić, w jaki sposób się pokryła — odparł Gobseck, odpowiadając hrabiemu złośliwym spojrzeniem. — Zeskontowałem ten weksel jednemu z moich kolegów. Zresztą, proszę pana — rzekł kapitalista, nie wzruszając się, nie podnosząc głosu i nalewając kawę do kubka z mlekiem — pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, że nie uznaję tego, aby mi pan miał prawo robić uwagi w moim domu: jestem pełnoletni od roku 61 zeszłego wieku.

— Kupiłeś pan za nędzną cenę brylanty rodzinne, które nie należały do mojej żony.

— Nie poczuwając się do obowiązku wtajemniczać pana w moje interesy, powiem panu, panie hrabio, że jeżeli brylanty zostały panu skradzione przez panią hrabinę, powinien pan być uprzedzić cyrkularzem jubilerów, aby ich nie kupowali. Wszak mogła je sprzedać częściowo.

— Panie! — wykrzyknął hrabia — pan zna moją żonę.

— Doprawdy?

— Ona pozostaje pod władzą mężowską.

— Możliwe.

— Nie miała prawa rozporządzać tymi brylantami...

— Słusznie.

— A więc?...

— A więc, proszę pana, znam pańską żonę, jest pod władzą mężowską, jest w ogóle pod rozmaitą władzą, ale nie znam pańskich brylantów. Jeżeli pani hrabina podpisuje

weksle, może z pewnością i uprawiać handel, kupować diamenty, przyjmować je w komis, brać je dla odprzedaży, widywano takie wypadki!

— Żegnam pana — wykrzyknął hrabia błady z gniewu — istnieją sądy.

— Słusznie.

— Ten pan — dodał, wskazując na mnie — był świadkiem sprzedaży.

— Możliwe.

Hrabia chciał wyjść. Naraz, czując wagę sprawy, wmieszałem się między walczące strony.

— Panie hrabio — rzekłem — pan ma słuszość i pan Gobseck też jest w swoim prawie. Nie może pan ścigać nabywcy, nie mieszając w to swojej żony, a hańba tej sprawy spadłaby nie tylko na nią. Jestem adwokatem, winien jestem bardziej jeszcze samemu sobie niż memu stanowisku oznajmić panu, że diamenty, o których pan mówi, przeszły w ręce pana Gobsecka w mojej obecności; ale sądzę, że byłoby błędem z pańskiej strony podawać w wątpliwość prawność tej sprzedaży, której przedmiot jest zresztą trudny do rozpoznania. W obliczu słuszości ma pan rację, w obliczu prawa przegrałby pan. Pan Gobseck jest zbyt uczciwym człowiekiem, aby zaprzeczyć, że ta sprzedaż odbyła się na jego korzyść, zwłaszcza kiedy moje sumienie i mój obowiązek każą mi to zeznać. Ale gdyby pan nawet wytoczył proces, panie hrabio, wynik byłby wątpliwy. Radzę panu tedy ułożyć się z panem Gobseckiem, który może usprawiedliwić się swoją dobrą wiarą, ale któremu zawsze winien pan zwrócić cenę kupna. Niech się pan zgodzi na odkup z terminem siedmiu lub ośmiu miesięcy, roku nawet, który to przeciąg czasu pozwoli panu zwrócić sumę pożyczoną przez panią hrabinę, chyba że pan woli odkupić przedmiot zaraz dziś, dając rękojmię płatności.

Lichwiarz maczał chleb w kawie i jadł z zupełną obojętnością, ale na słowo *ułożyć* zerknął na mnie, jakby sobie powiedział: „A to zuch, jak on skorzystał z moich lekcji”. Z mojej strony odpowiedziałem wymownym spojrzeniem, które zrozumiał doskonale. Sprawa była wątpliwa, brudna, trzeba było koniecznie ją załatwić. Gobseck nie miał ucieczki w zaparciu się, ja byłbym powiedział prawdę. Hrabia podziękował mi życzliwym uśmiechem.

Po dyskusji, w której zrzęczość i chciwość Gobsecka byłyby pobiły cały kongres dyplomatów, sporządziłem akt, w którym hrabia uznał, iż otrzymał od lichwiarza sumę osiemdziesięciu tysięcy franków łącznie z procentami, za zwrotem której Gobseck zobowiązuje się zwrócić brylanty.

— Co za marnotrawstwo! — wykrzyknął mąż, podpisując. — Jak zasypać tę przepaść?

— Panie — spytał poważnie Gobseck — czy pan ma dużo dzieci?

Na to pytanie hrabia zdrzął, jak gdyby lichwiarz, podobny biegłemu lekarzowi, położył nagle palec na siedlisku choroby. Mąż nie odpowiedział.

— Ba! — podjął Gobseck, rozumiejąc to bolesne milczenie — znam pańską historię na pamięć. Ta kobieta to demon, którego pan kocha może jeszcze; wierzę chętnie, mnie samego poruszyła! Może chciałby pan ocalić swój majątek, zachować go dla jednego lub dwojga swoich dzieci. Więc dobrze, rzuć się w wir świata, graj, strać ten majątek, przychodź często do Gobsecka. Świat powie, że ja jestem Żyd, Arab, lichwiarz, rozbójnik, że ja pana zrujnowałem! Drwię sobie z tego! Skoro mnie kto obrazi, kładę go trupem, nikt tak dobrze nie strzela z pistoletu i nie włada szpadą jak pański sługa. Wiedzą o tym! Potem postaraj się pan o przyjaciela, jeżeli zdołasz go znaleźć, sprzedasz mu fikcyjnie swój majątek. — Wszak wy to nazywacie *fideikomisem*, nieprawdaż? — zwrócił się do mnie.

Hrabia zdawał się zupełnie zatopiony w myślach, pożegnał nas, mówiąc:

— Otrzyma pan swoje pieniądze jutro, niech pan przygotowuje brylanty.

— Głupi jak uczciwy człowiek — rzekł zimno Gobseck, skoro hrabia wyszedł.

— Powiedz pan raczej, głupi jak zakochany.

— Należy ci się od hrabiego za sporządzenie aktu — zawołał, widząc, że odchodzę.

W kilka dni po tej scenie, która mnie wprowadziła w straszliwe tajemnice życia światowej kobiety, pewnego ranka hrabia wszedł do mej kancelarii.

— Panie — rzekł — przychodzę zasięgnąć pańskiej rady w poważnych sprawach. Oświadczam panu, że pokładam w panu zupełne zaufanie, i mam nadzieję dać tego do-

wody. Pańskie postępowanie wobec pani de Grandlieu — rzekł hrabia — jest ponad wszelkie pochwały.

(— Widzi pani — rzekł adwokat do wicehrabiny — że tysiąc razy otrzymałem nagrodę za uczynek bardzo prosty).

Skłoniłem się z szacunkiem i odrzekłem, że dopełniłem jedynie obowiązku uczciwego człowieka.

— A więc, proszę pana, zasięgałem dokładnych informacji co do szczególnej osobistości, której pan zawdzięczasz swoją karierę — rzekł hrabia. — Wedle wszystkiego, co się dowiedziałem, Gobseck wydaje mi się filozofem ze szkoły cyników. Co pan sądzi o jego uczciwości?

— Panie hrabio, Gobseck jest moim dobroczyńcą... po piętnaście od sta — dodałem, śmiejąc się. — Ale chciwość jego nie daje mi prawa, aby malować jego portret na użytek obcych.

— Niech pan mówi śmiało! Pańska szczerłość nie może zaszkodzić ani Gobseckowi, ani panu. Nie spodziewam się znaleźć anioła w skórze lichwiarza.

— Stary Gobseck — podjąłem — jest głęboko przekonany o zasadzie, która włada całym jego postępowaniem. Wedle niego pieniądź jest towarem, który można z czystym sumieniem sprzedawać drogo albo tanio, wedle okoliczności. Kapitalista jest w jego oczach człowiekiem, który dzięki procentowi, jakiego żąda od swoich pieniędzy, wchodzi z góry jako współlnik w zyskowne przedsięwzięcia i spekulacje. Poza jego zasadami finansowymi oraz jego filozoficznymi spostrzeżeniami nad naturą ludzką, które mu pozwalają postępować z pozoru jak lichwiarz, jestem głęboko przekonany, iż skoro skończy interesy, jest to najskrupulatniejszy i najuczciwszy człowiek, jaki istnieje w Paryżu. Są w nim dwaj ludzie: skąpiec i filozof, wielki i mały. Gdybym umarł, zostawiając dzieci, jego bym mianował opiekunem. Oto, proszę pana, w jakim świetle doświadczenie ukazało mi Gobsecka. Nie wiem nic o jego przeszłości. Może był korsarzem, może przebiegł cały świat, handlując diamentami albo ludźmi, kobietami albo tajemnicami stanu, ale przysięgam, że nie znam duszy ludzkiej tężej zahartowanej i lepiej doświadczonej. W dniu, w którym zaniósłem mu sumę umarzającą resztę mego długu, spytałem go, nie bez pewnych delikatnych omówień, jakie uczucie skłoniło go do tego, aby mi kazać płacić tak ogromne procenty, i czemu, chcąc mnie, swemu przyjacielowi, wyświadczyć przysługę, nie pozwolił sobie na pełne dobrodziejstwo. „Mój synu — odparł — uwolniłem cię od wdzięczności, dając ci prawo mniemać, żeś mi niewinien nic; toteż jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi pod słońcem”. Ta odpowiedź objaśni panu może lepiej człowieka niż wszystko, co bym powiedział.

Pieniądź, Przyjaźń

— Powziąłem nieodwołalne postanowienie — rzekł hrabia. — Niech pan sporządzi potrzebne akty, aby przenieść na Gobsecka własność mego majątku. Polegam tylko na panu co do ułożenia kontrrewersu, w którym oświadczy, że ta sprzedaż jest udana i zobowiąże się zwrócić ten majątek, administrowany tak, jak on umie administrować, w ręce mego najstarszego syna w dniu jego pełnoletności. A teraz, drogi panie, muszę panu wyznać; bałbym się zachować ten szacowny akt w domu. Przywiązanie mego syna do matki nie pozwala mi powierzyć mu tego rewersu. Czy mogę pana prosić, abyś go zechciał zachować u siebie? W razie śmierci Gobseck mianowałby pana spadkobiercą moich dóbr. Tak więc, wszystko przewidziane.

Hrabia zamilkł na chwilę, wydawał się bardzo podniecony.

— Wybacz mi pan — rzekł po pauzie — cierpię bardzo, a zdrowie moje budzi we mnie poważne obawy. Ostatnie zgryzoty zagoryczyły straszliwie moje życie i zmuszają mnie do tego doniosłego kroku.

— Panie hrabio — odparłem — niech mi pan pozwoli przede wszystkim podziękować za zaufanie, jakie pan we mnie pokłada. Ale muszę je usprawiedliwić, zwracając panu uwagę, że swoim krokiem wydziedzicza pan całkowicie swoje... inne dzieci. Noszą pańskie nazwisko. Gdyby nawet były tylko dziećmi kobiety niegdyś kochanej, dziś upadłej, mają prawo do jakiegoś zabezpieczenia. Oświadczam panu, że nie przyjmę obowiązku, jakim pan chce mnie zaszczyścić, jeżeli ich los nie będzie zapewniony.

Hrabia zadrżał gwałtownie, słysząc te słowa. Łzy stanęły mu w oczach, uściśnęła mi rękę mówiąc:

— Nie znałem pana jeszcze dosyć. Sprawił mi pan równocześnie przykrość i radość. Oznaczmy udział tych dzieci punktem kontrrewersu.

Odprowadziłem hrabiego aż do drzwi. Zdawało mi się, że widzę w jego rozjaśnionych rysach uczucie zadowolenia z tego aktu sprawiedliwości.

— Oto, panno Kamillo, jak młode kobiety staczają się w przepaść. Wystarczy czasami jednego kontredansa, jednej aryjki zaśpiewanej przy fortepianie, jednej wycieczki na wieś, aby sprowadzić straszliwe nieszczęścia. Biegnie się za pochlebnym głosem próżności, dumy, na wiarę jednego uśmiechu, albo przez szaleństwo, przez nieopatrzność! Hańba, zgryzota i nędza, oto trzy furie, w których ręce musi niechybnie dostać się kobieta z chwilą, gdy przekroczy granice...

— Biedna Kamilla upada z senna — rzekła wicehrabina, przerywając adwokatowi. — Idź, dziecko, idź spać, twoje serduszko nie potrzebuje straszliwych obrazów, aby pozostać czyste i uczciwe.

Kamilla de Grandlieu zrozumiała matkę i wyszła.

— Trochę pan za daleko zaszedł, kochany panie Derville — rzekła wicehrabina — adwokat nie jest matką rodziny ani kaznodzieją.

— Ależ gazety są tysiąc razy więcej...

— Pocziwy Derville! — przerwała mu wicehrabina — nie poznaję pana. Czyż pan sądzi, że moja córka czytuje gazety? Niech pan mówi dalej — dodała po pauzie.

— W trzy miesiące po zatwierdzeniu sprzedaży dokonanej przez hrabiego na rzecz Gobsecka...

— Może pan nazwać hrabiego de Restaud, skoro Kamilli już nie ma — rzekła wicehrabina.

— Niech i tak będzie — odparł adwokat. — W długi czas po tej scenie nie otrzymałem jeszcze kontrrewersu, który miał zostać w moim ręku. W Paryżu adwokaci pochłonięci są wirami spraw, który nie pozwala im myśleć o sprawach swoich klientów więcej, niż myślą oni sami, poza pewnymi wyjątkami, które umiemy czynić. Jednakże pewnego dnia, kiedy lichwiarz był u mnie na obiedzie, spytałem, czy nie wie, dlaczego nie mam żadnego znaku życia od pana de Restaud.

— Dla bardzo naturalnej przyczyny — odparł. — Jest umierający. Jest to jedna z owych tklivych dusz, które nie umiając zabić swej zgryzoty, dają się jej pożreć. Życie to jest praca, rzemiosło, którego trzeba się nauczyć. Kiedy człowiek, przebywszy wszystkie bóle życia, nauczył się go wreszcie, fibry jego hartują się i nabywają pewnej gibkości, która pozwala mu panować nad swą wrażliwością; zmienia swoje nerwy w stalowe sprężyny, które poddają się, nie pękając. Wówczas, o ile ma dobry żołądek, człowiek tak spręparowany może żyć równie długo, jak żyją cedry Libanu, kapitałne drzewa.

— Hrabia umierający? — zawołałem.

— Możliwe — odparł Gobseck. — Znajdziesz w sprawie jego sukcesji soczysty kąsek.

Spojrzałem na starego i rzekłem, aby go wy badać:

— Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego hrabia i ja jesteśmy jedynymi ludźmi, którymi się pan zainteresował?

— Dlatego, że wy jedni zawierzyliście mi bez zastrzeżeń — odparł.

Jakkolwiek ta odpowiedź pozwoliła mi przypuszczać, że Gobseck nie nadużyłby swego położenia, w razie gdyby kontrrewers zaginął, postanowiłem udać się do hrabiego. Zmyśliłem jakieś pilne interesy i wyszliśmy. Przybyłem rychło na ulicę du Helder. Wprowadzono mnie do salonu, gdzie hrabina bawiła się z dziećmi. Kiedy mnie oznajmiono, wstała nagle, podeszła ku mnie i usiadła, bez słowa wskazując mi pusty fotel przy kominku. Twarz jej oblekła ową nieprzenikloną maskę, pod jaką światowe kobiety tak dobrze umieją skrywać swoje wzruszenia. Zgryzoty zniszczyły już tę twarz: jedynie cudowne rysy, które niegdyś były jej ozdobą, pozostały, aby świadczyć o jej piękności.

— Jest rzeczą pierwszorzędną wagi — rzekłem — abym się mógł widzieć z panem hrabią...

— W takim razie byłby pan szczęśliwszym ode mnie — odparła żywo. — Pan de Restaud nie chce widzieć nikogo, zaledwie znosi odwiedziny doktora, odrzuci wszelkie starania, nawet moje. Chorzy mają takie dziwactwa! Są jak dzieci, nie wiedzą, czego chcą.

— Może właśnie jak dzieci wiedzą dobrze, czego chcą.

Hrabina zarumieniła się. Żałowałem niemal tej odpowiedzi godnej Gobsecka.

— Ależ — rzekłem, aby odmienić rozmowę — niepodobna przecież, aby pan de Restaud był wciąż sam.

— Najstarszy syn jest przy nim — rzekła.

Daremnie przyglądałem się hrabinie, tym razem nie zarumieniła się już; miałem wrażenie, że zacięła się w postanowieniu niedopuszczenia mnie do swych tajemnic.

— Powinna pani zrozumieć, że krok mój nie jest niedyskrecją — rzekłem. — Pobudką jego są ważne interesy...

Zagryzłem wargi, czując, że wszedłem na fałszywą drogę. Toteż hrabina natychmiast skorzystała z mej omyłki.

— Moje interesy a interesy męża to jedno — rzekła. — Nic nie stoi na przeszkodzie, aby pan powierzył mnie...

— Rzecz, która mnie sprowadza, tyczy jedynie pana hrabiego — odparłem stanowczo.

— Każę go uprzedzić, że pan się pragnie z nim widzieć.

Uprzejmy ton, wyraz, jaki przybrała, wymawiając te słowa, nie zwiódł mnie, odgadłem, że za nic nie dopuści mnie do męża. Rozmawiałem przez chwilę o rzeczach obojętnych, aby móc obserwować hrabinę; ale jak wszystkie kobiety, które ułożyły sobie plan, umiała udawać z ową rzadką doskonałością, będącą u kobiety szczytem przewrotności. Śmiem rzec, iż wszystkiego się lękałem z jej strony, nawet zbrodni. Uczucie to płynęło z przeczucia przyszłości, które odbijało się w jej gestach, spojrzeniu, zachowaniu, nawet w akcentach głosu.

Teraz opowiem państwu sceny, które zakończyły tę przygodę, wraz z okolicznościami, które poznałem z czasem, oraz ze szczegółami, które odgadła przenikliwość Gobsecka i moja.

Od chwili, gdy hrabia de Restaud na pozór rzucił się w wir zabaw i zaczął trwonić majątek, rozegrały się między małżeństwem sceny okryte nieprzeniknioną tajemnicą, które pozwoliły hrabiemu osądzić swoją żonę jeszcze niekorzystniej niż wprzód. Skoro tylko zachorował i musiał się położyć, objawiła się jego niechęć do hrabiny i do dwojga młodszych dzieci. Zakazał im wchodzić do pokoju, a kiedy spróbowali ominąć ten zakaz, powodowało to ataki tak niebezpieczne dla życia chorego, że doktor błagał hrabinę, aby nie naruszała mężowskich nakazów. Widząc, jak ziemia, jak dobra rodzinne, nawet pałac, w którym mieszka, przechodzą w ręce Gobsecka, który w fantastyczny sposób zdawał się pożerać ich fortunę, pani de Restaud rozumiała widocznie zamiary męża. Pan de Trailles, szczególnie wówczas naciskany przez wierzycieli, przebywał w Anglii. On jeden mógłby odsłonić hrabinie tajemne środki, jakie Gobseck podsunął mężowi przeciw niej. Mówią, że długo wzbraniała się dać swój podpis, nieodzowny wedle naszych ustaw do prawomocności aktu sprzedaży; mimo to hrabia uzyskał go. Hrabina sądziła, że mąż jej kapitalizuje swój majątek i że niewielka paczka banknotów, które go pomieszczą, znajdzie się w jakimś schowaniu, u rejenta, może w banku. Wedle jej rachuby, pan de Restaud musiał posiadać koniecznie jakiś akt, który by pozwolił najstarszemu synowi owładnąć majątkiem. Rozciągnęła tedy dokoła pokoju męża najściślejszy dozór. Władza despotyczna w domu, wszędzie docierało jej kobiece szpiegostwo. Siedziała cały dzień w salonie przylegającym do sypialni męża, skąd mogła słyszeć każde jego słowo, każdy ruch. W nocy kazała tam słać sobie łóżko i przeważnie wcale nie spała. Lekarz szedł jej we wszystkim na rękę. To poświęcenie zdawało się światu wzniosłe. Umiała z wrodzonym sprytem osób fałszywych ukryć wstręt, jaki pan de Restaud jej objawiał, i odgrywała tak dobrze komedię boleści, że zyskała tym niejaka sławę. Nawet świętoszki uważały, że hrabina okupiła swoje winy. Ale wciąż miała przed oczyma nędzę, jaka ją czeka po śmierci hrabiego, jeśli jej zbraknie przytomności umysłu.

W ten sposób ta kobieta, odtrącona od łoża boleści, na którym jęczał jej mąż, zakreśliła dokoła niego magiczny krąg. Z dała od niego, a blisko, odepchnięta, a wszechpotężna, na pozór najlepsza żona, czyhała na śmierć i na majątek, jak ów owad polny, który z głębi lejowato zbudowanej przez siebie czeluści czeka swej nieuchronnej ofiary, nad słuchując każdego spadającego pyłku. Najsurowszy sędzia musiałby przyznać, że hrabina ma wysoko rozwinięte uczucie macierzyńskie. Śmierć ojca, mówiono, była dla niej nauką. Ubóstwiając swoje dzieci, ukryła przed nimi obraz swoich grzechów: dzięki ich młodości zdołała osiągnąć swój cel i zdobyć ich miłość, dała im najlepsze i najświetniej-

sze wychowanie. Wyznaję, iż nie mogłem się obronić uczuciu podziwu i współczucia dla tej kobiety, z czego Gobseck do dziś sobie żartuje. W tej epoce hrabina, która poznała niktzemność Maksyma, krwawymi łzami pokutowała za minione błędy. Wierzę w to. Mimo iż sposoby, jakich używała, aby odzyskać majątek męża, były wstrętne, czyż nie dyktowała ich miłość matki i chęć naprawienia swoich win wobec dzieci? A przy tym, jak wiele kobiet, które przeżyły huragan namiętności, może czuła potrzebę powrotu na drogę cnoty. Może zrozumiała cenę cnoty dopiero w chwili, gdy poznała smutne żniwo swoich błędów. Za każdym razem, kiedy młody Ernest wychodził od ojca, przechodził inkwizytorskie badania co do każdego ruchu, każdego słowa hrabiego. Chłopiec poddawał się cierpliwie życzeniom matki, które przypisywał tkliwemu uczuciu; uprzedzał nawet jej pytania. Moja wizyta była dla hrabiny promykiem światła. Ujrzała we mnie narzędzie zemsty męża i postanowiła nie dopuścić mnie do umierającego. Wiedziony złym przeczuciem, pragnąłem żywo uzyskać rozmowę z panem de Restaud, nie byłem bowiem wolny od niepokoju co do losu kontrrewersu; jeśli dostał się w ręce hrabiny, mogła go wyzyskać, a wówczas wszczęłyby się nieskończone procesy między nią a Gobseckiem. Znałem na tyle lichwiarza, aby wiedzieć, że za nic nie oddałby majątku hrabinie, a było dosyć materiału spornego w tym rewersie, którym prawnie mogłem się posłużyć wyłącznie ja. Chciałem uprzedzić tyle nieszczęść i poszedłem drugi raz do hrabiny.

— Zauważyłem, proszę pani — rzekł Derville poufnym tonem do wicehrabiny de Grandlieu — że istnieją pewne objawy moralne, na które nie dość zwracamy uwagę. Będąc z natury obserwatorem, analizowałem bezwiednie sprawy, z którymi mam do czynienia, a w których namiętności grają tak żywo. Otóż wciąż z nowym zdumieniem podziwiałem fakt, że dwaj przeciwnicy zawsze prawie zgadują nawzajem swoje tajemne zamiary i myśli. Zdarza się czasem między dwoma wrogami to samo jasnowidzenie, ta sama siła wewnętrznego wzroku, co między dwojgiem kochanków, czytających wzajem w swoich duszach. Toteż kiedy znaleźliśmy się z hrabiną oko w oko, od razu pojąłem przyczynę antypatii, jaką czuje do mnie, mimo że pokrywała swoje uczucie najwyższą uprzejmością. Byłem dla niej narzuconym powiernikiem, otóż nie sposób, aby kobieta nie nienawidziła człowieka, przed którym musi się rumienić. Co do niej, odgadła, że o ile jestem człowiekiem, w którym jej mąż położył zaufanie, bądź co bądź, nie oddał mi jeszcze swego majątku.

Wróg

Rozmowa nasza, której nie będę tu powtarzał, została mi w pamięci jako jedna z najniebezpieczniejszych walk, jakie przeżyłem. Hrabina, obdarzona przez naturę wszystkimi przymiotami, zdolnymi wywrzeć nieprzeparty urok, była na przemian giętka, dumna, serdeczna, ufna, posunęła się nawet tak daleko, iż starała się rozpaścić mą ciekawość, obudzić we mnie miłość, aby mnie opanować: daremnie! Kiedy się z nią żegnałem, spostrzegłem w jej oczach wyraz nienawiści i wściekłości, który mnie przejął dreszczem. Rozstaliśmy się jako wrogowie. Byłaby mnie rada zabić, ja zaś czułem dla niej litość, która dla pewnych natur równa się najkrwawszej zniewadze. To uczucie odbiło się w ostatnich przedłożeniach, jakie jej uczyniłem. Przejąłem ją, jak sądzę, grozą, oświadczając, że jakkolwiek obierze drogę postępowania, znajdzie się z konieczności w nędzy.

— Gdybym się mógł zobaczyć z panem hrabią, przynajmniej majątek dzieci...

— Byłabym na pańskiej łasce — przerwała z gestem wstrętu.

Skoro raz kwestia stanęła tak jasno, postanowiłem ocalić tę rodzinę od nędzy, jaka ją czekała. Byłem gotów dopuścić się nielegalności, o ile by to było konieczne do celu, i oto jak wzięłem się do rzeczy. Kazałem ścigać hrabiego de Restaud za sumę należną fikcyjnie Gobseckowi i uzyskałem wyrok. Hrabina ukryła oczywiście te zabiegi, ale ja zyskałem w ten sposób prawo przyłożenia pieczęci zaraz po śmierci hrabiego. Przekupiłem jednego ze służby i wymogłem na nim przyrzeczenie, że skoro tylko hrabia będzie konał, uprzedzi mnie, choćby w nocy, iżbym mógł zjawić się nagle, przestraszyć hrabinę groźbą natychmiastowego opieczętowania i ocalić w ten sposób kontrrewersy. Dowiedziałem się później, że ta kobieta studiowała kodeks, słuchając jęków konającego męża. Jakież straszliwe obrazy ujrzelibyśmy w duszach tych, którzy otaczają łoża umierających, gdyby można zajrzeć do ich wnętrza! I zawsze majątek jest sprężyną intryg, które się obmyśla, planów, które się knuje!

Zostawmy teraz na stronie te szczegóły. Są one z natury swojej dość przykre, ale pozwoliły może państwu odgadnąć cierpienia tej żony, cierpienia jej męża; a odsłania-

ją one sekret wielu podobnych rodzin. Od dwóch miesięcy hrabia Restaud pogodzony ze swym losem leżał sam w swoim pokoju. Śmiertelna choroba osłabiła z wolna jego ciało i ducha. Pod wpływem chorobliwego kaprysu, niewytłumaczonego na pozór, nie pozwalał sprzątać u siebie w pokoju, nie pozwalał nic robić koło siebie, nawet posłać łóżka. Ta jego apatia wycisnęła ślady dokoła; meble stały w nieładzie, kurz, pajęczyna pokrywały najwykwintniejsze przedmioty. Hrabia, niegdyś bogaty i wybredny, podobał sobie teraz w smutnym widoku, jaki przedstawiał ten pokój. Biurko i krzesła założone były przedmiotami potrzebnymi w chorobie: pełne lub puste fiaszeczki, przeważnie brudne, rozrzucona bielizna, potłuczone talerze, przy kominku otwarta wygrzewaczka, wanna jeszcze pełna wody mineralnej. Piętno zniszczenia wyciśnięte było w każdym szczególe tego przykrego nieładu. Śmierć wyrażała się w rzeczach, nim zagarnie człowieka. Hrabia nie znoślił światła, żaluzje były stale zamknięte, a ciemność ta czyniła smutny pokój jeszcze bardziej ponurym. Chory schudł bardzo. Oczy jego, w których skupiło się życie, błyszczały. Trupia bledność twarzy miała coś upiornego, a wrażenie to zwiększała jeszcze nadmierna długość włosów, których nie pozwalał sobie obciąć i które spadały długimi kosmykami na policzki. Podobny był do pustelnika. Zgryzota zgasiła wszystkie ludzkie uczucia w tym człowieku zaledwie pięćdziesięcioletnim, którego cały Paryż znał tak świetnym i szczęśliwym.

Pewnego dnia, z początkiem grudnia roku 1824, spojrzął na syna swego Ernesta, który siedział przy łóżku, patrząc z boleścią na ojca.

— Czy cierpisz, ojcze? — spytał młody wicehrabia.

— Nie! — odparł z przerażającym uśmiechem. — Wszystko jest *tu i koło serca*.

I wskazawszy na głowę, przycisnął wychudłe palce do zapadłej piersi gestem, który wycisnął lzy Ernestowi.

— Czemu nie przychodzi pan Derville? — spytał lokaja, którego uważał za bardzo oddanego sobie, a który był zupełnie zaprzędany hrabinie.

— Jak to, Maurycy — wykrzyknął umierający, siadając na łóżku i jak gdyby odzyskując całą przytomność — od dwóch tygodni dziesięć razy posyłam cię do mego adwokata i on nie przychodzi? Czy sądzisz, że można sobie tak drwić ze mnie? Idź po niego natychmiast i przyprowadź go. Jeśli nie wypełnisz moich rozkazów, sam wstanę i pójdę.

— Proszę pani — rzekł lokaj, wychodząc — słyszała pani pana hrabiego, co ja mam robić?

— Udasz, że idziesz do adwokata i wrócisz panu powiedzieć, że jego pełnomocnik wyjechał o czterdzieści mil stąd dla ważnego procesu. Dodasz, że spodziewają się go z powrotem z końcem tygodnia.

„Chorzy zawsze się łudzą co do swego stanu — pomyślała hrabina — będzie czekał tego powrotu. Lekarz oświadczył w wilię<sup>12</sup>, że nie sądzi, aby hrabia doczekał wieczora”.

Kiedy w dwie godziny później lokaj przyniósł panu tę rozpaczliwą odpowiedź, chory zdawał się bardzo niespokojny.

— Mój Boże, mój Boże — powtarzał wiele razy — w Tobie jedynie pokładam mą ufność.

Patrzal długo na syna, w końcu rzekł słabym głosem:

— Erneście, moje dziecko, jesteś bardzo młody; ale masz dobre serce i rozumiesz z pewnością świętość przyrzeczenia danego umierającemu ojcu. Czy czujesz się zdolny zachować tajemnicę, zagrzebać ją w sobie tak, aby nawet matka się jej nie domyślała? Dzisiaj, mój synu, jedynie tobie mogę zawierzyć w tym domu. Nie zdradzisz mego zaufania?

— Nie, ojcze.

— A więc, Erneście, za chwilę wręczone ci zapieczętowaną paczkę, własność pana Derville. Schowasz ją tak, aby nikt nie wiedział, że jest u ciebie, wymkniesz się z domu i rzucisz ją w skrzynkę pocztową na rogu.

— Tak, ojcze.

— Mogę liczyć na ciebie?

— Tak, ojcze.

<sup>12</sup>w wilię (daw.) — wczoraj. [przypis edytorski]



— Uściskaj mnie. Czynisz mi w ten sposób śmierć mniej gorzką, moje drogie dziecko. Za kilka lat zrozumiesz wagę tej tajemnicy, wówczas znajdziesz hojną nagrodę za twą zręczność i wiarę; wówczas dowiesz się, jak cię kochałem. Zostaw mnie samego na chwilę i nie pozwól wchodzić tu nikomu.

Ernest wyszedł i ujrzał matkę stojącą w salonie.

— Erneście — rzekła — chodź tutaj.

Usiadła, pociągając syna na swoje kolana, i przycisnąwszy go z siłą do serca, ucałowała go.

— Erneście, ojciec mówił coś do ciebie.

— Tak, mamó.

— Co ci powiedział?

— Nie mogę powtórzyć, mamó.

— Och, moje drogie dziecko — wykrzyknęła hrabina, ściskając go z uniesieniem — jak mnie cieszy ta twoja delikatność! Nigdy nie kłamać, zostać wiernym słowu, to dwie zasady, których nie trzeba nigdy zapominać.

— Och! jakaś ty piękna, mamó! Tyś z pewnością nigdy nie skłamała, jestem tego pewny.

— Czasami, drogi Erneście, skłamałam. Tak, chybiłam słowu w okolicznościach, wobec których uginają się wszelkie prawa. Słuchaj, Erneście, jesteś dosyć rozsądny, aby spostrzec, że ojciec odpycha mnie, nie chce moich starań, a to nie jest naturalne, bo wiesz, jak ja go kocham.

— Tak, mamó.

— Moje biedne dziecko — rzekła hrabina, płacząc — nasze nieszczęście to owoc złośliwych intryg. Żli ludzie postarali się oddalić mnie od twego ojca, aby nasycić swą chciwość. Chcą nas pozbawić majątku i zagarnąć go dla siebie. Gdyby ojciec był zdrów, nieporozumienia, jakie istnieją między nami, rozwiałyby się rychło, wysłuchałby mnie, że zaś jest dobry, kochający, uznałby swój błąd; ale rozum jego zmaćcił się, a uprzedzenia jego do mnie stały się manią, rodzajem szaleństwa. To skutek choroby. Ta wyłączna czułość ojca dla ciebie jest także dowodem zaćmienia jego umysłu. Nie uważałeś wszak nigdy, aby przed swą chorobą mniej kochał Paulinę i Jerzego od ciebie. Wszystko jest u niego kaprysem. Czułość jego dla ciebie mogłaby go naprowadzić na myśl, aby ci wydać jakieś rozkazy. Jeżeli nie chcesz zrujnować swojej rodziny, drogie dziecko, i ujrzeć pewnego dnia matki żebrzącej chleba, trzeba mi wszystko powiedzieć...

— A! a! — wykrzyknął hrabia, który otwarłszy drzwi, ukazał się prawie nagi, wychudły już i suchy jak szkielet.

Ten nagły krzyk wywarł straszliwe wrażenie na hrabinie; stała nieruchoma, w pół martwa. Mąż był tak blady i wyniszczony, jak gdyby wyszedł z grobu.

— Zatrulaś życie moje zgryzotą, a teraz chcesz zatruć moją śmierć, opętać mego syna, uczynić zeń niegodziwca! — krzyknął chrapliwym głosem.

Hrabina rzuciła się do stóp umierającego, którego te ostatnie wzruszenia uczyniły niemal wstrętnym. Zalała się łzami.

— Łaski! Łaski! — krzyknęła.

— Czy ty miałaś litość dla mnie? — spytał. — Pozwoliłem ci pożreć twój majątek, chcesz teraz pożreć mój, zrujnować mego syna!

— Więc dobrze, tak, bądź bez litości dla mnie, bądź nieubłagany — rzekła — ale dzieci! Skaż swoją wdowę na życie w klasztorze, usłucham, odpokutuję moje błędy względem ciebie, jak tylko mi rozkażesz, ale niech dzieci będą szczęśliwe! Och! dzieci! dzieci!

— Mam tylko jedno dziecko — odparł hrabia, wyciągając rozpaczliwym gestem wychudłą dłoń do syna.

— Przebac mi! Ja żałuję, żałuję!... — krzyczała hrabina, obejmując wilgotne nogi męża.

Łkania nie pozwalały jej mówić, jedynie bezładne oderwane słowa wychodziły ze spieczonego gardła.

— Po tym, coś zleciła Ernestowi, ty śmiesz mówić o żalu — rzekł umierający, który szarpnąwszy nogą, obalił hrabinę. — Brzydzisz mnie — dodał z obojętnością, która miała coś przerażającego. — Byłaś złą córką, złą żoną, będziesz złą matką.

Nieszczęśliwa kobieta padła zemdlona. Umierający wrócił do łóżka, położył się i stracił przytomność w kilka godzin później. Przyszli księża z sakramentami. Była północ, kiedy umarł. Poranna scena wyczerpała jego siły.

Przybyliśmy o północy ze starym Gobsekiem. Dzięki zamętowi, jaki panował w domu, dotarliśmy do saloniku obok pokoju zmarłego. Zastaliśmy troje dzieci we łzach i dwóch księży, którzy mieli spędzić noc przy ciele. Ernest zbliżył się do mnie i oznajmił, że matka chce zostać sama w pokoju hrabiego.

— Niech pan tam nie wchodzi — rzekł z cudownym akcentem i gestem — matka się modli!

Gobseck zaczął się śmiać owym właściwym sobie niemym śmiechem. Czułem się zbyt wzruszony uczuciem, jakie błyszczało na młodej twarzy Ernesta, aby podzielić ironię sknery. Kiedy chłopiec ujrzał, że zamierzamy wejść, rzucił się do drzwi, wołając:

— Mamo! czarni panowie cię szukają!

Gobseck uniósł chłopca jak piórko i otworzył. Cóż za widok! W pokoju panował straszliwy nieład. Rozzochrana, nieprzytomna z rozpaczy, z błyszczącymi oczyma hrabina stała zmieszana wśród ubrań, papierów, przewracanych rupieci. Okropny był ten nieład w obliczu zmarłego. Zaledwie hrabia wydał ostatnie tchnienie, żona jego wyłamała wszystkie szuflady; dywan dokoła niej pokryty był szczątkami, kilka sprzętów i tek było wyłamanych; wszystko nosiło ślady jej zuchwałej ręki. O ile zrazu poszukiwania były daremne, postawa jej i podniecenie kazały mi przypuszczać, że odnalazła w końcu tajemnicze papiery. Rzuciłem okiem na łóżko i z instynktem, jaki nam daje doświadczenie zawodowe odgadłem, co się działo. Trup hrabiego leżał za łóżkiem prawie, w poprzek, z nosem w materacach, pogardliwie rzucony jak jedna z papierowych kopert leżących na podłodze; i on także był tylko kopertą... Zesztywniałe i martwe członki dawały mu coś pocieszenie okropnego. Umierający ukrył zapewne kontrrewers pod poduszką, jak gdyby chcąc go ubezpieczyć przed wszelkim zamachem aż do swojej śmierci. Hrabina odgadła myśl męża, która zresztą wypisana była w ostatnim jego geście, w skurczu zakrzywionych palców. Poduszka leżała u stóp łóżka, jeszcze była na niej odcisnięta stopa hrabiny; u jej nóg, koło niej, ujrzałem papier z kilkoma pieczęciami hrabiego, podniosłem go żywo i przeczytałem napis wskazujący, że zawartość przeznaczona była do moich rąk. Zmierzyłem hrabinę oczyma z przenikliwą surowością sędziego, który bada przestępcę. Ogień na kominku pochłaniał papiery. Słyszając że wchodzimy, hrabina wrzuciła je w płomienie, myśląc z pierwszych słów rozporządzenia, które uzyskałem na korzyść jej dzieci, iż niszczy testament pozbawiający je majątku. Nieczyste sumienie i mimowolna zgroza, jaką zbrodnia budzi w przestępcy odjęty jej zdolność rozważli. Widząc się zaskoczoną, ujrzała może rusztowanie i uczuła rozpalone żelazo kata. Ta kobieta czekała, dysząc, naszego pierwszego słowa i patrzyła na nas błędnym wzrokiem.

— Och! pani — rzekłem, wyjmując z kominka kawałek papieru, którego ogień nie dosięgnął — zrujnowała pani swoje dzieci! Ten papier to był ich legat.

Poruszyła ustami, jak gdyby tknięta paralitycznym atakiem.

— He, he! — wykrzyknął Gobseck, którego głos uczynił na nas wrażenie podobne do zgrzytu mosiężnego świecznika, kiedy się go przesuwają po marmurze.

Po chwili starzec rzekł spokojnie do mnie:

— Czy chciałby pan wmówić w panią hrabinę, że ja nie jestem prawym właścicielem dóbr, które mi sprzedał pan hrabia? Ten dom od kilku minut należy do mnie.

Uderzenie maczugi spadającej na mą głowę mniej by mi sprawiło bólu i zdumienia. Hrabina zauważyła niepewne spojrzenie, które zwróciłem na lichwiarza.

— Panie! panie! — rzekła, nie mogąc znaleźć innych słów.

— Masz pan fideikomis? — spytałem.

— Możliwe.

— Czyżby pan chciał nadużyć zbrodni spełnionej przez panią?

— Właśnie.

Wyszedłem, zostawiając hrabinę przy łóżku męża płaczącą gorącymi łzami. Gobseck wyszedł za mną. Kiedyśmy się znaleźli na ulicy, odsunąłem się od niego; ale on podszedł do mnie, objął mnie owym głębokim spojrzeniem, jakim umie przenikać serca, i rzekł swoim cichym głosem, dźwięczącym dziwnie ostro:

— Ty chcesz mnie sądzić?

Śmierć, Trup, Testament

Od tego czasu widywaliśmy się rzadko. Gobseck wynajął pałac hrabiego, spędza lato w jego majątku, gra wielkiego pana, buduje folwarki, naprawia młyny, drogi, sadi drzewa. Jednego dnia spotkałem go w Tuilleriesach.

— Hrabina prowadzi życie heroiczne — rzekłem. — Poświęciła się cała dzieciom i wychowuje je wybornie. Najstarszy jest przemyśły chłopiec...

— Możliwe.

— Ale — rzekłem — czyżby pan nie powinien pomóc Ernestowi?

— Pomóc Ernestowi! — wykrzyknął Gobseck. — Nie, nie. Nieszczęście jest naszym najlepszym nauczycielem; nieszczęście nauczy go wartości pieniędzy, ludzi i kobiet. Niech żegluj po morzu paryskim! Skoro się stanie dobrym sternikiem, damy mu statek.

Pozegnałem go, nie próbując sobie tłumaczyć sensu tych słów. Mimo iż pan de Restaud, któremu matka zaszczepiła niechęć do mnie, daleki jest od szukania u mnie rady, poszedłem w zeszłym tygodniu do Gobsecka powiedzieć o miłości Ernesta do panny Kamilli i nalegać nań, aby dopełnił swego mandatu wobec tego, iż młody hrabia dochodzi do pełnoletności. Stary lichwiarz leżał od dawna w łóżku, nękany chorobą, która miała go przywieść do grobu. Odroczył odpowiedź do chwili, gdy będzie mógł wstać i zająć się interesami; nie chciał z pewnością wyzuć się z niczego, póki jeszcze oddycha; odwłoka jego nie miała z pewnością innej przyczyny. Znalazszy go o wiele gorzej, niż sam mniemał, zostałem u niego dosyć długo, aby się przekonać o wzroście namiętności, która z wiekiem zmieniła się w rodzaj szaleństwa. Aby nie mieć nikogo w domu, gdzie mieszkał, wynajmował cały dom dla siebie, zostawiając resztę pokoi pustką. Nic się nie zmieniło w izbie, którą zajmował. Meble, które znałem tak dobrze od szesnastu lat, robiły wrażenie, że się je przechowuje pod szkłem, tak były ściśle takie same. Stara i wierna odźwierna, żona inwalidy, który pilnował bramy, kiedy ona szła do pana, była wciąż jego zaufaną gospodynią; ona wprowadzała każdego, kto go chciał odwiedzić i pełniła przy nim rolę pielęgniarki. Mimo swego osłabienia Gobseck przyjmował wciąż jeszcze klientów, ściągał sam swoje wpływy i uprościł swoje interesy w ten sposób, iż wystarczyło mu kilka posyłek przez inwalidę, aby utrzymać styczność ze światem. W epoce traktatu, w którym Francja uznała republikę Haiti, wiadomości, jakie posiadał Gobseck o stanie dawnych fortun na San-Domingo oraz o kolonistach lub tych, którym przyznano odszkodowania, sprawiły, iż mianowano go członkiem komisji dla likwidacji ich praw i podziału sum należnych od Haiti. Spryt Gobsecka stworzył agencję dla eskontowania wierzytelności kolonistów lub ich spadkobierców pod nazwiskiem Werbrusta i Gigonneta, z którymi dzielił się zyskiem, nie włożywszy żadnego kapitału, gdyż doświadczenie jego policzono mu za udział. Agencja ta to był rodzaj dystylarni, gdzie wyciskało się wierzytelności ludzi ciemnych, nieufnych lub tych, których prawa były sporne. Jako likwidator, Gobseck umiał traktować z wielkimi właścicielami, którzy, bądź to aby wyjednać wysokie oszacowanie swoich praw, bądź aby je szybko zrealizować, ofiarowywali mu podarki proporcjonalne do swoich majątków. Tak więc podarki były rodzajem procentu od sum, których niepodobna mu było zagarnąć; agencja zaś wydawała mu na łup kwoty drobne, wątpliwe, wreszcie wierzytelności ludzi, którzy woleli spłatę natychmiastową, choćby minimalną, od niepewnych odszkodowań republiki. Gobseck był nienasyconym węzłem boa tej wielkiej afery. Co rano pobierał swoje haracze i przyglądał się im, niby minister nababa, nim się namyślił podpisać ułaskawienie. Gobseck brał wszystko, od koszyka ryb jakiegoś biedaka, aż do sreber bogaczy i złotych tabakierek spekulantów. Nikt nie wiedział, co się działo z tymi podarkami płynącymi do rąk starego lichwiarza. Wszystko wchodziło do domu, nic wychodziło.

— Słowo uczciwości — mówiła mi odźwierna, moja stara znajoma — on chyba łyka to wszystko, ale biedaczek nie tyje od tego, bo chudy jest i suchy jak to ptaszysko na moim zegarze.

Wreszcie w zeszły poniedziałek Gobseck posłał po mnie inwalidę, który wchodząc do mego gabinetu, rzekł:

— Niech pan przyjdzie prędko, panie Derville, stary idzie zdać ostatnie rachunki, zżółkł jak cytryna, pilno mu mówić z panem, śmierć stoi przy łóżku, już go dławi ostatnia czkawka.

Kiedy wszedłem do pokoju umierającego, zastałem go na kolanach przy kominku, gdzie nie było wprawdzie ognia, ale za to była ogromna kupa popiołu. Gobseck zawlókł

się tam z łóżka, ale siły mu brakło, aby się położyć z powrotem, jak również głosu, aby się uzalić.

— Mój stary przyjacielu — rzekłem, podnosząc go i pomagając mu wrócić do łóżka — zimno tutaj, czemu pan nie każesz rozpalic ognia?

— Nie zimno mi — odparł — nie chcę ognia, nie chcę ognia! Idę nie wiem gdzie — dodał, rzucając mi ostatnie spojrzenie, spojrzenie blade i wystygłe — ale to wiem, że idę stąd. Mam objawy *karfologii*<sup>13</sup> — rzekł, posługując się terminem świadczącym, jak jego inteligencja była jeszcze jasna i ścisła. — Zdawało mi się, że widzę pokój pełen żywego złota, wstałem, aby je zgarnąć. Komu się dostanie moje złoto? Nie dam go rządowi; zrobiłem testament, poszukaj go, Grocjuszu. Piękna Holenderka miała córkę, którą widziałem, nie pamiętam już gdzie, pewnego wieczora, przy ulicy Vivienne... Zdaje mi się, że ją nazywają *Drętwa*<sup>14</sup>, ładna jest jak anioł, wyszukaj ją, Grocjuszu. Jesteś wykonawcą mego testamentu, bierz, co zechcesz, jedz: są tu pasztety strasburskie, worki kawy, cukier, złote łyżki. Daj ten serwis swojej żonie, to prawdziwy Odiot. Ale komu brylanty? Zażywasz tabakę, chłopcze? Mam tu tabakę, sprzedaj ją w Hamburgu, zarobisz pół procent zwyczajki. Słowem, mam wszystko i wszystko trzeba rzucić! No, ojczulku Gobseck, bez słabości, bądź sobą.

Usiadł na łóżku, twarz jego zarysowała się ostro na poduszce, jakby była z brązu; wyciągnął suche ramię i kościstą rękę na koldrę, którą ścisnął, jak gdyby chciał się przytrzymać; popatrzał na kominek zimny jak jego metaliczne oko i umarł z całą świadomością. Patrzyliśmy nań, odzwierna, inwalida i ja: wydał mi się podobny do owych starych surowych Rzymian, których Lethière odmalował za konsulami na płótnie pod tytułem *Śmierć dzieci Brutusa*.

— Czort nie człowiek — rzekł inwalida w swojej żołnierskiej gwarze.

Ja słuchałem jeszcze fantastycznego inwentarza bogactw, które wyliczał umierający i spojrzenie moje, biegnące za jego spojrzeniem, utkwilo w kupie popiołu, której wielkość mnie uderzyła. Wziąłem szczypce i kiedy je tam utopiłem, uderzyłem o stos złota i srebra, narosły zapewne w czasie choroby z wpływów pieniężnych, których nie miał siły schować, a zbyt był nieufny, aby je posłać do banku.

— Biegnijcie do sędziego pokoju — rzekłem do starego inwalidy — aby tu jak najprędzej przyłożono pieczęcie.

Uderzony ostatnimi słowami Gobsecka oraz tym, co mi świeżo mówiła odzwierna, wziąłem klucze od pokojów na pierwszym i drugim piętrze i poszedłem tam zajrzeć. W pierwszym pokoju, do którego wszedłem, znalazłem wytłumaczenie słów, które brałem za majaczenie. Ujrzałem owoce skąpstwa, któremu został już tylko ten bezmyślny instynkt tak często spotykany u sknerów na prowincji. W pokoju przyległym do tego, w którym Gobseck zmarł, znajdowały się zgniłe pasztety, mnóstwo wszelkiego rodzaju wiktuałów, nawet skorupiaki i ryby morskie pokryte pleśnią i zabijające wręcz swymi wyziewami. Wszędzie roilo się od owadów i robaków. Te świeże podarki walały się wśród pudeł wszelkiego rodzaju, skrzyń herbaty, worków kawy. Na kominku w srebrnej wazie znajdowały się zawiadomienia o towarach przybyłych pod jego nazwiskiem do Hawru, paki bawełny, cukru, beczki rumu, kawa, indygo, tytoń, cały bazar towarów kolonialnych! Pokój ten był zavalony meblami, srebrem, lampami, wazonami, książkami, cennymi sztuchami zwiniętymi w rulony, osobliwościami. Może ta olbrzymia ilość wartościowych przedmiotów nie pochodziła z samych podatków, może to były niewykupione fanty, które mu zostały. Ujrzałem puzdra z herbami lub literami, nakrycia z cienkiego płótna, kosztowną broń. Otworzywszy książkę, widać świeżo poruszoną, znalazłem w niej tysiącfrankowe banknoty. Postanowiłem sobie przepatrzyć starannie najdrobniejsze przedmioty, zbadać podłogi, sufity, ściany, aby znaleźć wszystko złoto, którego tak namiętnie łaknął był ten Holender godzien pędzla Rembrandta. Nigdy w czasie mojej prawniczej kariery nie widziałem obrazu takiego skąpstwa i dziwactw. Kiedy wróciłem do sypialni Gobsecka, znalazłem na biurku przyczynę tego stopniowego nieładu oraz natłoczenia bogactw. Była tam pod przyciskiem korespondencja między Gobseckiem a kupcami, którym za-

<sup>13</sup>*karfologia* — febryczne drżenie rąk u umierających, jak gdyby chcieli zgarnąć niewidoczne przedmioty rozsypane na łóżku. [przypis tłumacza]

<sup>14</sup>*Drętwa* — [por. Balzac,] *Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis tłumacza]

pewne sprzedawał zwykle swoje prezenty. Otóż, czy to że ci ludzie sparzyli się na sprycie Gobsecka, czy że Gobseck zbyt się drożył ze swymi towarami, żaden targ nie doszedł do skutku. Nie sprzedał wiktuałów Chevetowi, bo Chevet chciał je wziąć jedynie z trzydziestoma procentami straty. Gobseck targował się o kilka franków, a podczas tych targów towary się psuły. Co się tyczy srebra, nie chciał ponieść kosztów przesyłki. Co do kawy, nie chciał wziąć na siebie braków. Każdy przedmiot dawał powód do sporów zdradzających w Gobsecku pierwsze objawy owego zdzicinnienia, owego niepojętego uporu, właściwego starcom, u których silna namiętność przeżyje inteligencję.

Powiedziałem sobie tak, jak on powiedział sam sobie: „Komu przypadną wszystkie te bogactwa?”... Na zasadzie dziwnej wskazówki, jaką mi dał co do swej jedynej dziewczynki, trzeba mi badać wszystkie podejrzane domy w Paryżu, aby tam rzucić jakiejś kobiecie złego życia ogromny majątek. Ale przede wszystkim niech państwo wiedzą, że dzięki prawomocnym aktom hrabia de Restaud będzie w najbliższym czasie posiadaczem majątku, który mu pozwoli zaślubić pannę Kamillę, zapewniwszy matce, bratu i siostrze wystarczające działy i wiana.

— Ano, kochany Derville, pomyślimy o tym — odparła pani de Grandlieu. — Pan Ernest musiałby być bardzo bogaty, aby rodzina taka jak nasza zgodziła się przełknąć jego matkę. Pomyśl pan, że mój syn będzie kiedyś księciem de Grandlieu, zjednoczy majątek obu linii, chcę tedy, aby miał odpowiedniego szwagra.

— Ależ — rzekł hrabia de Born — Restaud ma w herbie czerwone pole ze srebrną belką i cztery złote tarcze ze złotymi krzyżami; to bardzo stary herb.

— To prawda — rzekła wicehrabina — zresztą Kamilla może nie utrzymywać stosunków z teściową, która zadała kłam dewizie *Res tuta!*

— Pani de Beauseant przyjmowała panią de Restaud — rzekł stary hrabia.

— Och, tylko na rautach — odparła wicehrabina.

*Paryż, styczeń 1830.*

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-gobseck>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka, Gobseck*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Przekłady Boy'a, t. 88, wyd. Drukarnia Krajowa, Warszawa 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Rolnicka, Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: [ruffin\\_ready@Flickr](https://www.flickr.com/photos/ruffin_ready/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0062-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.